MORALNOŚĆ.

Drugi wyjątek z dzieła francuzkiego: *Nauka poznania siebie samego albo poszukiwania źrzódeł moralności*, przez J. Abbadie.

Z CZĘŚCI Iszey.

ROZDZIAŁ III. *O Człowieku, uważanym pod względem przyrodzenia i obszernych jego powinności.*

Nasze powinności płyną z natury, nie zaś z wychowania, jak niektórzy utrzymują. A żeby się o tém przekonać, dosyć jest przypuścić dwie zasady: *pierwszą*: że my naturalnie siebie samych kochamy, będąc czułemi na roskosz, nienawidząc złego, życząc dobra i mając staranie o swoje własne zachowanie; *drugą*: że z tą skłonnością do kochania siebie, natura dała nam rozum do postępowania. Kochamy siebie: jestto prawda rzeczywista. Natura uczy nas użycia tego rozumu, do kierowania miłością siebie; wypływa to z zasad tey ostatniey: albowiem jest rzeczą niepodobną, ażebyśmy mogli siebie prawdziwie kochać, i nie szukać wszelkiego światła do znalezienia tego, co dla nas jest przyzwoitém.

Ponieważ natura, każe nam szukać naszego dobra; wynika ztąd: że człowiek jest z natury bez powinności i bez prawa. Trzeba się zgodzić na różnicę istotną, jaka zachodzi między *dobrem i złem moralném*. Ponieważ pierwsze gruntu-

je się na posłuszeństwie prawu rozumney natury, *drugie*: na jego zgwałceniu.

Prawo to natury w powszechności, może się dzielić na cztery inne, które są jego szczególnemi rodzajami; to jest: na prawo wstrzemięźliwości, które każe nam unikać wszełkich zbytkow i rospusty, ruynujących nasze ciało, i przynoszących uszczerbek naszey duszy; na prawo sprawiedliwości, które nam nakazuje oddać każdemu, co do niego należy i postępować z każdém tak, jakbyśmy sobie życzyli; ażeby z nami postępowano; na prawo umiarkowania, które nam zabrania zemsty, dla tego, iż się jey zawsze dopuszczamy z własną szkodą; i że szanować w tém prawa boskie, jest to mieć staranie o siebie samych; nakoniec na prawo dobroczynności, które nam nakazuje dobrze czynić drugim.

Rzeczą jest pewną, że nieśmiertelność człowieka stanowi doskonałość, pewność, i rozległość tych czterech rodzajow prawa. Człowiek, który siebie zna jako istotę nieśmiertelną; nie będzie nigdy zakładał swego celu w roskoszach, przez Stwórcę natury przywiązanych do tego, co zachowuje jego ciało. Nie chcemy czynić krzywdy drugim, nie tylko dla tego, że się lękamy odwetu niesprawiedliwości w tém życiu, ale i dla tego, że się obawiamy zgotować przez to dla siebie wieczną zgubę. Ten, który jest zajęty swoją godnością naturalną, który ją wynosi wyżey nad wszelkie obelgi, nie chcąc jednakże robić dla siebie zadowolnienia z uszczerbkiem chwały boskiey; zaledwie uczuje nieukontentowanie, jakimbykolwiek sposobem z nim postępowano. Nakoniec, jeżeli to obcowanie naturalne i doczesne, które my

mamy z innemi ludźmi w towarzystwie, może sprawić jakąś życzliwość i sprzyjanie między nami, wzrastające podług stopnia doczesnego obcowania, które z niemi mamy, jakichże pobudek miłości i dobroczynności nie znaydziemy w wyobrażeniu towarzystwa wiecznego, w którém powinniśmy lub możemy z niemi pozostać?

Tak więc, prawo naturalne, jest w człowieku: lecz doskonałość i rozciągłość tego prawa jest w człowieku nieśmiertelnym. Zresztą te cztery rodzaje prawa, są tém, co my nazywamy prawem naturalném, które jest naydawnieysze, naypowszechnieysze, nayistotnieysze ze wszystkich, i fundamentem innych. Jest ono naydawnieysze; albowiem miłość nas samych i rozum poprzedzają w nas wszelki rodzay skłonności i praw. Jest ono naypowszechnieysze; albowiem wiele było ludzi, którzy nie słyszeli o prawie *objawioném*, ale żaden człowiek nie przyszedł na ten świat bez tego prawa, które go nakłania do szukania prawdziwego dobra. Jest ono nayistotnieysze, dla tego, iż nie jest, ani prawém żydowskiém, ani prawem chrześcijańskiém tylko: ale prawem człowieka; nie tylko ono należy do prawa czyli raczey Ewangelii, ale do natury, w jakimkolwiek znayduje się stanie. Słowem: jest ono fundamentem wszelkich praw innych.

Wszystkie inne prawa, są tylko prawem natury odnowionèm, i zastosowaném do pewnych krajow, w których się ludzie znaydują. Znaydujemy prawo natury w tém prawie, które Bóg dał pierwszym naszym rodzicom. Prawodawca przypuszcza w niém, że człowiek kocha siebie samego: albowiem prawo jego gruntuje się na

obietnicach i groźbach. Przedstawia mu *dobre i złe;* oświeca go, ażeby poznał jedno i drugie; zachęca do wdzięczności, którą sama natura przepisuje. Pan Bóg,domaga się hołdu za tyle łask, które mu wyświadcza; a ten hołd zależy na powstrzymaniu się od jedzenia owocu z pewnego drzewa; przepisuje powinność zachowania się: *wtenczas kiedy zjesz umrzesz.* Jako też prawo sprawiedliwości: albowiem cóż może bydź sprawiedliwszego, jak ustąpić dla Stwórcy panowania nad jego dziełami, i nie chcieć używać ich bez niego. Jestto więc prawo natury, zastosowane do stanu, w jakim się wówczas Adam znaydował. W samey rzeczy, nie można było jemu zabraniać, ani używać bogactw, gdyż te niebyły mu znajome; ani bluźnić przeciw Bogu, gdyż tylko co zaczynał go błogosławić; ani odpoczywać jednego dnia w tygodniu, kiedy on każdego dnia odpoczywał; ani zabijać bliźniego, gdyż żadnego nie było; ani dopuścić się cudzołóstwa, kiedy była jedna kobieta; ani pożądać cudzey własności, gdyż wszystko do niego należało; ani mówić fałszywego świadectwa, gdyż chyba przeciw sobieby świadczył.

Lecz, gdy się ludzie na ziemi rozmnożyli, gdy stan swóy zmienili;Bóg niekiedy odnawiał prawo naturalne i dawał je ludziom pod innym kształtem: ponieważ powinno było bydź zastosowane do okoliczności, w jakich się znaydowali.

Dla tego więc niepotrzeba mniemać, że kiedy się mówi o dziesięciorgu przykazań, iż ono zamyka prawo natury; że ono zamyka zasady proste i ogólne prawa naturalnego, które powinno kierować wszystkiemi ludźmi. Wyznasz, że

Dziesięcioro Bożego przykazania jest prawem naturalném, odnowioném i napisanem dla żydów; lecz jest także i to pewna, że ono jest prawem naturalnem do stanu, w jakim Izraelici się znaydowali. Oto są uwagi, które nam nie dozwalają o tém wątpić.

1. Izraelici byli uwolnieni z niewoli egipskiey. Prawodawca korzysta z tego dobrodzieystwa, ażeby ich nakłonić do winnego dla siebie posłuszeństwa: *Jam jest Pan Bóg twóy, którym cię wywiodł z ziemi egipskiey, z domu niewoli. Nie będziesz miał.* i t. d. Rzecz jest widoczna, że ta pobudka nie ma mocy nad sercem ludzi, którzy nie mieli żadnego w tém uwolnieniu udziału. Na nic się nie przyda utrzymywać, że, jeżeli wszyscy nie mieli udziału w uwolnieniu doczesném Izraelitów, duchownie byli uwolnieni z niewoli grzechu. Myśli mistyczne, dobre mogą bydź w nauce, nigdy zaś w przykazaniach nakazujących posłuszeństwo, które zamykają się w bardzo krótkich i właściwych wyrazach. Prócz tego, ileż to jest narodów, którym Bóg dał równeż prawo naturalne, jak i drugim, a które nigdy nie słyszały o uwolnieniu Izraelitów przez Moyżesza, i które następnie nie mogą znaydywać podobieństwa uwolnienia duchownego.

2. Izraelici będąc na puszczy, gdzie pili wodę i jedli mannę, nie potrzebowali przykazow nakłaniających do wstrzemięźliwości i do unikania pijaństwa i zbytków stołu. Jestto jedyna przyczyna, dła czego prawodawca w przykazaniach swoich, nie zabrania tego rodzaju niewstrzemięźliwości, który zawsze uchodzi tu za bardzo główny występek.

3. Kanaayczykowie, którzy ściągnęli gniew boski przez bałwochwalstwo, i którzy odnieśli karę za swoje grzechy, nie zdawali się bydź przeklętymi zewnętrznie i przez tłumaczenie, jak utrzymują po szkołach, z powodu występku Chama, który odkrył hańbę oyca swego i został ukarany przeklęstwem prorockiém, zapowiadającém ruinę dla potomstwa Kanaana, syna tego bezbożnego człowieka. Nie można temu zaprzeczyć, że w dziesięciorgu Bożego przykazania, znayduje się w piątém przykazaniu wyraźna do tego *alluzya* w tych wyrazach: *Czciy Oyca twego i Matkę twoię, ażeby dni twoje były przedłużone na ziemi, którą Pan Bóg dał tobie na mieszkanie*. Rzeczą jest pewną, że tu przez ziemię nie potrzeba rozumieć ziemi w powszechności, ale tę ziemię, która była dana Izraelitom. Co widocznie się okazuje z tych wyrazow, *którą ci Pan Bóg dał na mieszkanie*. Myśl niewątpliwa prawa jest ta; że powinniśmy unikać występku Chama, który był dla pokolenia niebezpiecznym, i starać się otrzymać przez sprawowanie się lepsze błogosławieństwo boskie, które może nas utwierdzić w posiadłościach.

4. Niewątpliwą jest rzeczą, że natura uczy nas poświęcać usłudze boskiey część naszego życia: gdy bowiem wszystkie momenta naszego życia mamy od Boga, wdzięczność i sprawiedliwość wymagają po nas, ażebyśmy poświęcili choć kilka chwil na modlitwę: lecz zachowywać dzień siódmy i rozciągać takowe zachowanie aż do źwierząt, ma więcey związku z położeniem, w jakiém się ten lud znaydował. Bóg chciał, ażeby czło-

wiek nie zapomniał o dobrodzieystwie stworzenia, ażeby nie zaniedbywał obchodzić święta ustanowionego, na uwiecznienie pamiątki tego wielkiego wydarzenia.

Ze wszystkich cech prawa dziesięciorga przykazań widzieć można, iż ono w niczém się nie różni od prawa przyrodzonego; ani co do swojey treści, ani co do pierwszych zasad, ale tylko co do sposobu i rozciągłości, zastosowaney do stanu i potrzeb ludu Izraelskiego. Jest to rzeczą widoczną, że wielkie pobudki, na których się przykazania tego prawa wspierają; są: błogosławieństwo i przeklęstwo docześne, użyte przez Naywyższego Prawodawcę, jako środek nakłaniający do posłuszeństwa; chociaż mógłby zagrozić ludziom karami wiecznemi, przeznaczonemi dla złych ludzi; a dla zachowujących jego prawo zapowiedzieć wieczne i szczęśliwe życie. Zkąd to pochodzi, że Pan Bóg nie używa tych potężnych pobudek, tych strasznych przedmiotow, albo je tylko daje poznać w sposobie bardzo niepewnym wtenczas, kiedy używa całey mocy w swoich obietnicach wielkich dóbr, i w zagrożeniach wielkiemi nieszczęściami cielesnemi? Oto dla tego, iż stosował prawo swoje do stanu, w jakim się lud Izraelski w owe czasy znaydował, nim czas objawienia życia i nieśmiertelności szczęśliwey w Jezusie Chrystusie nie przyydzie, który między innemi charakterami swego boskiego powołania, miał mieć także wyraźny i obfity charakter objawienia.

ROZDZIAŁ VI. *O rozciągłości prawa naturalnego, zawartego w Ewangelii, dla człowieka nieśmiertelnego.*

Jeżeli prawo moyżeszowe, jest prawem naturalném, zastosowaném do stanu człowieka śmiertelnego, a w szczególności do stanu Izraelitow; Ewangelia jest prawem naturalném zastosowaném do stanu człowieka nieśmiertelnego.

To się pokazuje bardzo jasno z ducha obudwu tych ustanowień. W prawie moyżeszowém, Bóg pokazuje się w postaci groźney: burzący mury, roztwierający przepaści ziemi, zapalający góry ogniem z nieba spuszczonym; a to wszystko, aby zagrozić ciału swemi sądami; albo wykonać wyroki swojey sprawiedliwości nad znikomą naturą: ale w nowém ustanowieniu udzielania łaski, widzimy ożywionych duchem boskim, pogardzających gwałtownością żywiołów, i prześladowaniem ludzi, cierpiących z naywiększą stałością, uniesionych radością wpośród ognia ich pożérającego, tryumfujących na widok rozwiązania się ich lepianki; którą inni ludzie z tak wielką zachowują starannością; a to dla tego, iż są utrzymywani przez wyobrażenie wieczności, które im miłosierdzie boskie wyraźnie poznać dało.

Nie możemy mówić tego, ażeby prawo moyżeszowe nie zawierało w sobie jakiegoś stosunku do wieczności; owszem mieści w sobie choć cień dóbr i szczęścia przyszłego. Równie też i o Ewangelii nie można powiedzieć, ażeby nie miała zawierać w sobie wyobrażenia o nikczemności i śmiertelności człowieka: albowiem ona zamyka w sobie wszelkie lekarstwa i pociechę naszą pod

tym względem; ale prawo moyżeszowe uważa bezpośrednie życie doczesne, a pośrednie życie wieczne, Ewangelia zaś uważa życie wieczne, jako przedmiot główny, życie doczesne pośrednie tylko. Nauka znayduje się równie w jedném, jak w drugiém ustanowieniu. Ewangelia jest ukryta w naturze, natura zaś, (jeżeli wolno tak mówić) jest ukrytą w Ewangelii: mowa tu jest o naturze nieśmiertelney, co ułatwi rozwiązanie niektórych mogących się tu wydarzyć trudności.

Wyznaję, że to jest rzeczą przeciwną naturze docześney i nikczemney, która mierzy wszystko podług życia doczesnego; lecz bynaymniey nie jest przeciwną naturze nieśmiertelney, która za nic uważa czas, i wszystko robi w widokach wieczności.

Nasi nieprzyjaciele, czynią nam wielkie przeszkody w urządzeniu naszego majątku: lecz nienawiść, którą możemy mieć ku nim, może bydź przeszkodą do naszego zbawienia; a właśnie zbawienie jest przedmiotem uwagi człowieka nieśmiertelnego. Pogardza on małemi powodami nienawiści, które chciwość lub zazdrość rodzi w naszém sercu, ale uważa na związki wieczne, które mamy z innemi ludźmi w Bogu, wspólnym Oycu naszym, jako potężne pobudki miłości, którą względem naszych bliźnich zachować powinniśmy.

Obfitość i pomyślność podobają się sercu, pokładającemu swoje nadzieje i żądanie w przemijającym świecie: ale człowiek nieśmiertelny, tém więcey w nim znayduje bojaźni, im więcey má uczucia. Lęka się on tych urojonych dóbr, któ-

re nas zaymują, ale nigdy nas nie nasycają; tych uczuć żywych, które są przeszkodą do poznania swego prawdziwego interesu. Uważa on pomyślność, jako panowanie zwodzących nas namiętności. Jest przekonany, że smutki, odeymując nam uczucia przyjemne, usuwają mnóstwo złudzeń z naszey duszy.

Nie mniema on także, ażeby dobra tego świata, zasługiwały na zazdrość; ażebyśmy mieli z drugiemi o nie się ubiegać, szczególniey, kiedy Religia przyydzie na pomoc przekonaniu, że wszelka nienawiść i spory, wynikające ze świata zepsutego, mogą dla niego przynieść wieczną zgubę. Jeżeli prawem człowieka jest domagać się tego, co do niego należy: Bóg na ten koniec ustanowił sądy w społeczności; która byłaby zgrają zbrodniarzów, siedliskiem mordow i występkow bez wykonania sprawiedliwości. Wszelako rostropność człowieka nieśmiertelnego, nie pozwala mu wymagać wykonania swoich praw ze wszelką ścisłością, jeżeli tylko naymnieysza wyniknąć może wątpliwość, iż przez to dla jego duszy jakakolwiek szkoda wyniknąć może; zkąd łatwy wniosek, że moralność Ewangelii jest obrazem serca człowieka nieśmiertelnego.

Widzieliśmy, że doskonałości człowieka gruntują się na jego nieśmiertelności, która jedynie czyni go uczęstnikiem szczęścia. Widzimy, że ta nieśmiertelność stanowi rozległość naszych powinności i naszych obowiązkow. Zobaczmy jeszcze, że ona jest mocą naszey duszy, czyli pobudką, kierującą nas do dobrego czynienia.

ROZDZIAŁ VII. *O władzach moralnych człowieka, czyli o pobudkach, które znayduje w sobie do kierowania swemi sprawami.*

Gdyby Bóg był nieprzyjacielem człowieka, zapewne przywiązałby boleść do tych wszystkich przedmiotow, do których podobało mu się przywiązać rozkosz; jedno było dla niego rownie łatwe, jak i drugie; a człowiek, zamiast kochania siebie samego, byłby własnym swoim nieprzyjacielem.

Rzecz bowiem bardzo naturalna, iż człowiek doświadczający boleści, nie nawidzi jey, jeżeli jest stateczna i nieoddzielna; nie nawidzi swojey własney istoty, znając dobrze, że uczucie boleści bez exystencyi niemiałoby mieysca. Duchy potępione, nie nawidzą się wzajemnie w mieyscu swych mąk i udręczeń; jeżeli miłość własna na tym świecie była źródłem ich zepsucia, nienawiść siebie samych staje się napotém ich mąk narzędziem. Łatwo także pojąć można, że niepodobna czuć rozkoszy i nie lubić tego uczucia, które ona w nas sprawuje, i nie życzyć zachowania swojey istoty, która jest takowey rozkoszy uczęstniczką. Rozkosz sprawuje to, iż my kochamy siebie: albowiem bez naszego istnienia rozkosz niemiałaby mieysca. Ztąd wynika, iż zależało od Boga stwarzając człowieka, chcieć, ażeby on siebie kochał, lub nie kochał, gdyż równie zależało od niego przywiązać lub też nie przywiązać rozkoszy do pewnych przedmiotów.

Miłość siebie jest skłonnością naturalną; natura uczy nas kochać roskosz a nienawidzieć bo-

leści; a zatem, natura jest przyczyną, że my siebie kochamy. Ta skłonność nie wypływa bynaymniey z rozwagi i rozmyślania naszego umysłu; ona poprzedza wszelkie rozumowanie. Stoicy, zasłużyli na pośmiewisko wieków przez uczucia, które im przypisywano. Utrzymywali oni, że ten człowiek jest mądry,który przestaje bydź człowiekiem. Było to już wielkiém dziwactwem: lecz oni jeszcze dziwacznieyszymi się okazywali, upatrując słabość i podłość w uczuciach bardzo naturalnych naszego serca. Miłość nas samych jest skłonnością boską w swoiém początku:albowiem my kochamy siebie dla tego,że Bóg nas kocha. Nie nawidzielibyśmy siebie samych, gdyby Bóg nas nie nawidział. Niesłusznie więc powstają na wszystkie sprawy nasze, które są skutkiem miłości siebie, utrzymując: iż to są podług nich, niebezpieczney moralności występki i słabości; które niszczą całą wartość cnot wszelkich, dla tego iż pochodzą ze źródła miłości siebie, i nie ma żadney,do któreyby interes nie był pobudką. Wniosek takowy jest bardzo fałszywy, albowiem miłość siebie jest skłonnością pochodzącą z boskiego źrzódła. Miłość siebie, jest skłonnością konieczną;nie potrzeba mniemać, że dusza nasza jest obojętną na to wszystko, co dla niey może bydź z korzyścią. Ta obojętność wolney woli, jest marzeniem ludzi, którzy nie dosyć zgłębili naturę, albo którzy nie chcą poznać siebie samych.

Nadto, Bóg uznał potrzebę połączyć wiadomość z uczuciem, dla tego, ażeby pierwsza rządziła drugiém, uczucie zaś, ażeby ustaliło wiadomość. Gdybyśmy tylko samym jednym obdarzeni byli rozumem, błąkalibyśmy się w naszych myślach , zaciekając się w próżne szperania , u-

siłując poznać to, co nas naymniey obchodzić powinno. Przeznaczeniem zatem uczucia, jest ustalić takowe pojęcie, i zastosować je szczególniey do przedmiotow, które go obchodzą. Gdyby w człowieku było tylko samo uczucie, miałby natenczas skłonności i chęci takie, jakieby takowe uczucie w nim zrodziły; ale zbywałoby mu na świetle i przewodniku do szukania rzeczy, do których te chęci są przywiązane, a miłość roskoszy, ślepo i zle kierowana, wtrąciłaby go w otchłań. Rozumu zatem przeznaczeniem, kierować uczuciem.

Rozum, jest doradzcą duszy; uczucie jest jey siłą, albo ciężarem, który nią kieruje, a który, podług różnych odmian tego uczucia, bywa większy lub mnieyszy.

W uczynioném przez nas porównaniu, dusza nasza nie tylko daje baczność na to, co dla niey sprawuje roskosz w chwili obecney; ale jeszcze na to, co ją na przyszłość sprawić może. Porównywa ona roskosz z boleścią, dobro obecne z dobrem oddaloném; szczęście spodziewane z niebezpieczeństwami, którym uledz musi; i postępuje stosownie do nauki, jaką z rozmaitych poszukiwań odnosi. Wolność jey, jest niejako rozpostrzenieniem jey wiadomości, oraz mocą robienia wyboru po dostateczném uprzedniém wyważeniu.

Ztąd łatwy wniosek, że użyteczność obecna zamyka się w uczuciu roskoszy, użyteczność spodziewana, zamyka się w tem, co nam może sprawić radość lub nas uczynić szczęśliwymi, albo zachować nasze szczęście, zachowując nas samych; użyteczność ta stanowi całą moc duszy, potrzebną do kierowania nią w jey zamiarach i postępowaniu.

Moc duszy jest bardzo mała, jeżeli ją zamknie-

my w obrębie przedmiotow świata tego. Moc, która nas wstrzymuje od skępstwa, zawiera się w bojaźni przyniesienia uszczerbku naszemu zaszczytowi, przez podły interes; moc, która nas wstrzymuje od marnotrawstwa, zawiera się w bojaźni utracenia majątku, wtenczas, kiedy się staramy zarobić na szacunek przez naszą hoyność. Bojaźń choroby, wstrzymuje nas od wszelkich poruszeń lubieżnych. Miłość własna, czyni nas umiarkowanymi i ostróżnymi; a przez pychę naszę wydawać się będziemy pokornymi i skromnymi. Lecz to jest tylko przeyście z jednego występku do drugiego.

Ażeby nadać naszey duszy moc wyniesienia się nad wszelką słabość, bez powrócenia do niey; potrzeba, ażeby wszelkie jey pobudki nie były tego świata. Widoki doczesne mogą ją prowadzić od jednego nierządu do drugiego: ale widok wieczności zamyka w sobie pobudki, które ją wynieść mogą nad wszelką słabość i ułomność. Ten tylko jeden przedmiot porusza i poświęca: albowiem on tylko jeden podnosi nas dosyć wysoko i zniewala do opuszczenia świata tego. Widziano kaznodziejow górnie mówiących, którzy wszelako nie robili żadnego wrażenia: albowiem nie umieli interesować natury nieśmiertelney; widziano zaś przeciwnie kaznodziejów z miernym talentem, poruszających świat cały mową bez sztuki; a to dla tego, iż prosto zmierzali do celu, prowadząc ludzi pobudkami wieczności; jakowe pobudki powtarzane często prostemi i pospolitemi sposobami, pociągały i przekonywały osoby nawet bardzo oświecone, uymując je ze strony nayważnieyszey i nayświetnieyszey. Pobudki doczesne mają moc ogra-

niczoną; ale pobudki wieczne zawierają w sobie moc nieskończoną, która tylko przez nasze zepsucie bywa osłabioną.

Ztąd wypada, że jako miłość siebie jest źrzódłem powszechnem pobudek, kierujących sercem naszém; tak taż sama miłość siebie, mająca na widoku wieczność, stanowi całą moc, którey my potrzebujemy do wyniesienia się nad wszelkie rzeczy świata tego.

Ażeby się przekonać o tey prawdzie, naylepiey jest zastanowić się nad tém, co może w nas sprawić uczucie naszéy nieśmiertelności? jaki wpływ ma to uczucie na wszelkie nasze poruszenia i sprawy? i jakie jest działanie jego na nasze serce? To jest, nad czém teraz zastanawiać się będziemy.

CZĘŚĆ DRUGA.

ROZDZIAŁ VII. *W którym się dowodzi, że miłość siebie zapala w nas wszystkie inne skłonności, i jest początkiem powszechnym naszych poruszeń.*

Powiedziałem, że miłość siebie jest początkiem wszystkich naszych naturalnych skłonności: bo czy my czego żądamy, czy się obawiamy, czy się spodziewamy; zawsze to czynimy przez miłość siebie.

Wyznaję, że skłonność, którą mamy do drugich, obudza w nas pragnienie, bojaźń, nadzieję. Lecz jakiż jest początek tey skłonności, jeżeli nie miłość siebie?... Zastanowmy się tylko dobrze nad źrzódłem każdey przyjaźni, a przekonamy się,

że wszystkie gruntują się, albo na interessie, albo na wdzięczności, albo na powinowactwie, albo na sympatyi, albo na delikatney przyzwoitości; co sprawuje, że my w mniemaniu naszém kochamy cnotę dla niey samey wtenczas, kiedy ją kochamy przez miłość siebie, i że wszystko kończy się na miłości siebie.

Powinowactwo z całą swoją mocą, zapala nasze skłonności; kochamy nasze dzieci, dla tego, że są naszemi dziećmi; gdyby były dziećmi drugich, bylibyśmy dla nich obojętnémi. Nie kochamy więc dzieci, ale powinowactwo, które nas z niemi łączy. Prawda, że dzieci nie tyle kochają rodziców, ile rodzice kochają swe dzieci. Różnica ta ma swoję przyczynę. Dzieci przewidują swóy zgon w swoich rodzicach; rodzice zaś przeciwnie zdają się odradzać w swoich dzieciach: bo natura wléwa w nas miłość do życia, a nienawiść do śmierci. Rodzice widzą w dzieciach swoich, drugich siebie samych, ale zawisłych od nich. Winszują sobie, że ich wydali na świat; patrzą na nich z roskoszą: bo uważają ich za własne dzieło. Cieszą się ze świętych i niewzruszonych praw, jakie mają do nich; uważają ich za swoję własność, królewstwo i swoje państwo. Lecz jeżeli rodzicom tak się podoba zwierzchnictwo, dzieci mają wstręt do podległości. Nic nam tak bardzo nie cięży, jak dobrodzieystwo odebrane, kiedy jest wielkie, dla tego, iż nas zanadto zniewala i do posłuszeństwa zmusza. Uważamy je jako łańcuch delikatny, ale mocny, który wiąże nasze serce, ale razem ogranicza naszę wolność. Nareszcie, ponieważ jest powinowactwo krwi, powinowactwo professyi, religii, kraju i t. d., ztąd i skłonności rozróżniają się nie-

skończenie; byleby tylko interes nie brał nad niemi góry: bo niechybnie odniesie zwycięztwo. Interes działa na nas prosto; powinowactwo pośrednie. Ztąd interes działa z większą, jak powinowactwo, mocą. Lecz w tém, tak, jak w każdey inney rzeczy, okoliczności szczególne wpływają bardzo na odmianę propozycyi ogólney.

Tey to właśnie samey przyczynie, przypisać należy, naywiększą nienawiść między osobami, które się pierwey bardzo kochały; a to dla tego, że te osoby znaydowały użytek lub roskosz w kochaniu siebie; co zaymowało miłość ich własną. Skoro nastąpi zmiana sentymentow, do pobudek nienawiści łączą się pobudki miłości. Pobudki te, wynikają po części z domierzoney krzywdy; po części z roskoszy wypowiedzianey już przyjaźni. Cierpią więc z powodu skłonności, która wygasła; co nas jeszcze więcey utwierdza w naszém mniemaniu, że w każdey skłonności zapalającey się w naszém sercu, miłość siebie ma swóy udział. W mniemaniu tém jeszcze więcey utwierdzamy się, kiedy zwrócimy uwagę na to, że nie tylko powinowactwo jest źrzódłem przyjaźni, ale nawet że nasze skłonności odmieniają się podług stopnia powinowactwa, które mamy z ludźmi. Własnością charakterystyczną człowieka, jest owa uprzeymość, którą ludzkością nazywamy. Rzecz pewna, że gdyby tylko dwie osoby były na świecie, kochałyby się bardzo czule: lecz ponieważ powinowactwo powszechne łączy się z nieskończoną liczbą innych stosunkow, które mamy między sobą; przeto skłonność naturalna, powstająca z tego powinowactwa, gubi się w ciżbie namiętności, obudzonych w sercu naszem przez inne przedmio-

ty. My nie upatrujemy w naszym bliźnim podobieństwa do siebie, ale przeciwnie, znaydujemy w nim naszego współzawodnika, zazdrośnego nieprzyjaciela naszey pomyślności; (tak jak i my wzajemnie), pysznego, który tylko sam siebie szacuje; słowem: człowieka, który przez swoje dobre przymioty ściąga uwagę i szacunek drugich ludzi, a nas pogrąża w zapomnieniu; albo, który przez swoje namiętności stawia nam ciągłe sidła, i w naszych przedsięwzięciach jest nam na przeszkodzie. Lecz skoro śmierć pozbawi jego wszystkich tych obrzydłych związkow, natenczas odkrywamy w nim to powszechne powinowactwo, które nas do niego przywiązywało; przypominamy sobie, że był człowiekiem wtenczas, kiedy nim bydź przestał; i chcemy go umieścić w liczbie naszych przyjaciół, wtenczas, kiedy śmierć oddzieliła go od społeczności żyjących.

Powinowactwo narodowe, nadaje ludziom pewien rodzay uprzeymości; która nietyle się daje postrzegać między ludźmi razem w kraju mieszkającymi; (gdyż takowe powinowactwo, osłabia się przez liczbę osób roszczących do niego prawo): ale się bardzo dobitnie okazuje, kiedy dwóch lub trzech ziomkow, pod obcym spotyka się niebem. Wtedy miłość siebie, potrzebująca wsparcia i pociechy, znaydująca takowe w osobach, mających tenże sam interes i powinowactwo, i podobneż usposobienie, zwraca baczność na takowe powinowactwo; jeżeli mocnieysza pobudka własnego interesu nie odprowadzi go od tego. Powinowactwo profesyi sprawuje pospolicie więcey nienawiści i odrazy, niż przyjaźni, między ludźmi; a to z powodu zazdrości, którą są przejęci; powino-

wactwo záś stanu zawsze rodzi uprzeymość. Wielcy panowie są nieubłagani dla gminu i pospólstwa, dla tego, iż patrzą na nich z niejakąś pogardą i wstrętem, oczyma miłości własney. Nie uważają oni ich nigdy za swoich bliźnich. Nie uważają i nie dostrzegają tey blizkości i sąsiedztwa, w jakiem z nimi zostają: gdyż ich umysł i serce zajęte są tą przestrzenią, która ich od reszty oddziela ludzi, i właśnie w tém znaydują prawdziwą dla swojey próżności roskosz.

Trzeba się jednak na to zgodzić, że *powinowactwo krwi*, bierze pospolicie nad wszystkiemi innemi górę. Chociaż powiadają, że jeden prawdziwy przyjaciel więcey znaczy, niż kilku krewnych; rzecz jest jednak pewna, że ludzie z przyrodzenia, dają zawsze pierwszeństwo swoim krewnym przed swymi przyjaciołami, nadewszystko w okolicznościach ważnych. Co pochodzi ztąd, iż uważają swoich krewnych, jako przyjacioł koniecznych, którzy muszą bydź do nich przywiązani; przyjacioł zaś swoich, jako krewnych dobrowolnych, którzy tyle tylko ich kochają, ile się im podoba. Bo chociaż przyjaźń dobrowolna, obowiązuje więcey, niż przyjaźń konieczna, wszelako nie jest za taką uważana od miłości siebie: może ona natchnąć w nas więcey wdzięczności, lecz nie tyle trafia do naszego interesu. Stałość barbarzyńska *Brutusa*, patrzącego na śmierć własnych synow, których w swojey obecności stracić kazał; nie jest tak obojętną, jak się bydź wydaje. Naywybornieyszy z poetow łacińskich odkrył a pobudkę w tych wyrazach: *Vincet amor patriae, laudumque immensa cupido*. Ale poeta nie odkrył

wszystkich sprężyn interesu, które kierowały pozorną nieludzkością tego Rzymianina.

Brutus był człowiekiem podobnym drugim ludziom; kochał siebie wyżey nad wszystkie inne rzeczy. Dzieci jego oskarżone są o zbrodnią, dążącą do wywrócenia Rzymu, a jeszcze więcey do zguby samego *Brutusa*. Jeżeli miłość oycowska wymawia błędy dzieci, miłość własna powiększa je, kiedy są przeciwko niey wymierzone. Bezwątpienia, Rzym odniosł wielki zaszczyt z tego, co *Brutus* uczynił dla miłości siebie; oyczyzna zaś przyjęła jego ofiarę, którą on uczynił dla swojey miłości własney i był okrótnym więcey przez słabość, niż przez wspaniałomyślność.

Interes wszystko może nad duszą, szukamy siebie w przedmiocie naszych skłonności; a ponieważ są różne rodzaje interesow, można więc rozróżnić wiele rodzajow skłonności, będących płodem interesu. Interes roskoszy, rodzi skłonność lubieżną: interes dumy, rodzi przyjaźń polityczną: interes pychy, szuka przyjaźni świetney: interes chciwości, przyjaźni użyteczney. Słowem: tyle kochamy ludzi, ile nam są przyjemnymi lub użytecznymi. Jeżeli więc wszystkie te różne interesa, łączą się z sobą, i tworzą w nas uczucie przychylności i przywiązania do jakiey osoby; nic nie może iśdź w porównanie z takiém przywiązaniem.

Gmin, który pospolicie powstaje i narzeka na przyjaźń interesowaną, nie wié sam, co mówi. Błądzi dla tego, iż zna tylko jeden rodzay przyjaźni interesowaney, z *chciwości* wynikającey; kiedy tyle jest rodzajow skłonności interesowanych, ile przedmiotow chciwości. Nadto wyrzucają, iż pospolicie ludzie kochają przez interes daleko mo-

cniey, niż z jakieykolwiek inney pobudki; nie znają tego, że kochać przez interes, jest to prosto kochać siebie samego; przeciwnie zaś, kochać ludzi z innych pobudek, jest to kochać ich względnie i pośrednie. Pospolicie my tę miłość interesowaną, uważamy za niedorzeczną, która jest w sercu innych ludzi, nie zaś tę, która jest w sercu naszém. Nakoniec wyobrażamy sobie, że jest zbrodnią bydź interesowanym; nie dając baczności na to, że nie interes, lecz bezinteresowność nas pospolicie gubi. Gdyby ludzie, ofiarowali nam wielkie dobra dla zaspokojenia naszey duszy; kochalibyśmy ich słusznie miłością interesowaną, i niktby nam za złe nie wziął, gdybyśmy pobudki tego interesu, przełożyli nad powinowactwo lub inne powody. Wdzięczność sama, tak szacowana na świecie, tak zalecana w moralności i religii; nie jest wyjęta od wpływu miłości siebie. Jakaż bowiem jest różnica, między interesem, a wdzięcznością? Ta, iż interes ma na celu dobro przyszłe; wdzięczność jest zwrótem delikatnym miłości siebie, która się czuje bydź obowiązaną; jest ona niejakim sposobem wyniesieniem interesu. Nie dla tego kochamy naszego dobroczyńcę, że jest wart kochania, ale dla tego, że nas kocha. Ażeby jeszcze dobitnieysze zrobić porównanie, między wdzięcznością a interesem; powiémy, że skłonność, która się w nas rodzi z wdzięczności, jest szlachetnieyszą; a skłonność powstająca z interessu, jest mocnieyszą. Pierwsza odnosi się do przeszłości, która już upłynęła, interes zaś do przyszłości z którey korzystać zamyślamy. Wdzięczność kocha bez nadziei; interes spodziewa się i oczekuje. Wdzięczność kocha dobro przez miłość intencyi,

a interes kocha intencyą, dla miłości dobra. Nakoniec wyobrażenia przeszłości, które są wyobrażeniami wdzięczności, są oderwane, i nie obudzają w duszy żadney uwagi; przeciwnie zaś, wyobrażenia czasu obecnego, które są wyobrażeniami interesu, są bardzo żywe i szczególniey nas zaymują.

Rzecz pewna, że zachodzi z tego względu pewien rodzay sprzeczności między jednym a drugim; skąd pochodzi, że jako wszyscy ludzie są z przyrodzenia interessowani, tak też są z przyrodzenia niewdzięczni. Miara interesu, jest miarą niewdzięczności: albowiem, im więcey dusza przywiązuje się do teraźnieyszości, tem więcey traci z przywiązania, które powinna była mieć do przeszłości. I z tego względu można powiedzieć o wdzięczności, to, co mówiliśmy o bezinteressowności: że ona zawiera się nayczęściey w rzeczach zewnętrznych; że rzadko powstaje w sercu człowieka, chyba przez interes lub pozor interesu, co się takoż często wydarza.

HRABIA HAKELBERG

albo

RYCERZ SIERZPA.

powieść *Blumenhagena.*

(*Dokończenie.*)

Xiąże Henryk, przezwany Dziwnym, mieszkał z dworem swoim naprzemian, już w zamku Grubenhagen, który oyciec jego Albert W. za karę nieposłuszeństwa zabrał jednemu z wassalów swoich Kuno von Gruben, już w Sale-der Hej-

den, gdzie też w roku 1322 i umarł. Na jego dworze celował przed wszystkimi, równie urodą, jak męztwem, Heynicho von Hakelberg. Zdawało się, iż sam Xiąże kochał go jak własnych synów. Nikt nie wiedział o pochodzeniu pięknego młodzieńca; nazywano go Hrabią, uważano za ostatnią gałąź znakomitego zagranicznego domu; ale między naystarszymi dworzany biegała wieść, że ten sierota w bliższém był z Xiążęcym domem powinowactwie, niżeli się niektórzy domyślali i śmieli mówić: ten mienił bydź oycem nadobnego syna tajemnicy starszego brata Xiążęcia Henryka, Wielkiego Mistrza pruskiego Zakonu Krzyżaków Ludera; ów młódszego Ottona Komandora Zakonu Templaryuszów w Supplingenburgu; nikt atoli jawnie nie popisywał się ze swemi domysły. Heynicho odebrał wychowanie prawdziwie xiążęce i był nieoddzielnym towarzyszem Henryka następcy tronu, z nim razem pojechał do Jerozolimy i na górę Synai. Tak się trafiło, iż uratował tam z niebezpieczeństwa życie Xiążęcia, i ciężkie rany odniósł: za to panujący Xiąże mianował go Wielkim Łowczym swoim i darował mu na wieczność Zamek Herlingenburg w Hercyńskim lesie blizko Goslaru leżący.

Potomstwa jednak nie można było rokować po młodym rycerzu; gdyż żadna pani na balach dworu, żadna dziewica na turniejach, nie ożywiała posępnego wzroku Hakelberga. Od dzieciństwa był charakteru ognistego, porywczego; wychowanie hamowało jego burzliwość. Za powrótem z Jerozolimy spostrzeżono w jego postępowaniu cóś tajemniczego, co dało powód do myślenia, jakoby został Templaryuszem, nie bacząc na prze-

śladowania, jakich ten zakon już i w północnych państwach doświadczał.

Ale istotna przyczyna odmiany charakteru naszego rycerza, zdarzyła się nierównie wcześniey, a była cale innego rodzaju. Drugi brat Xięcia na Grubenhagenie, Albrecht, przezwiskiem Tłusty, po śmierci oyca swego panował nad zaleśną krainą w Balrutz blizko Gietyngi. Wszelkie nieporządki, jakich szlachta pod pozorem ducha rycerskiego dopuszczała się, jak naprzykład pojedynki, rabunki i rozboje po drogach, nie przypadały mu do serca; sławę swoję zakładał na kwitnącym stanie miast i prowincyy swoich; aczkolwiek bez porównania większą, niż bracia jego, przywiązywał wagę do xiążęcego swego dostojeństwa. To właśnie posłużyło nieszczęściem ku skierowaniu skłonności młodego Hakelberga.

W rocznicę urodzin Xiężney Agnieszki, podczas uroczystości w Grubenhagen i dwór Gietyngski był obecnym.

Turnieje, a po nich bal wspaniały, zakończył ten świetny obchód. Heynicho von Hakelberg odniósł zwycięztwo nad ozdobą młodzieży obu Brunświckich liniy, a jego panią w tańcach była Ryxa, młódsza córka dumnego Xięcia Gietyngi. Na śliczną parę, która jaśniejącą grupę walca pięknością zaćmiła, z roskoszą patrzyła Rychenza, matka piękney dziewicy, i pokazała to swojemu mężowi. Ale czarne chmury osiadły na brwiach Xięcia Albrechta: rzucił ostre spóyrzenie na tancerzów, a głos jego zagłuszył dźwięki trąb i kotłów, „Gdybym tu rządził się moją wolą“ z gniewem zawołał, „nie mięszałby się sługa z Xiążęty,

a pokrzywniki i żebracy nie staliby obok następców tronu. Jestto rdza na koronie."

Dumna mowa Albrechta jak piorunem raziła słuch i duszę walecznego Heynicha. Nie kończąc tańca, zatrzymał się nagle, a w zapale gniewu, nieustraszonym wzrokiem, jak błyskawicą, cisnął na zdziwionego Xiążęcia. Gwałtownie i z zapałem, pocałował rękę strwożoney swey damy, zostawił ją śród sali, rzucił rękawicę pod nogi Xięcia, i już przez cały wieczór więcey się nie pokazywał. Obrażony Xiąże, żalił się na zuchwałego młodzieńca przed jego panem, lecz widząc, że ten śmiechem zbywał skargi, zabronił Hakelbergowi bywać na dworze swoim. Płochy postępek Hakelberga rychło poszedł w niepamięć, ale dla niego wieczór ten nazawsze pozostał pamiętnym. Nigdy się już nie pokazał na dworze Gietyngskim, lecz częściey, niż wprzódy, bawił się łowami w Solingenskich i Hercyńskich lasach. Synowie dzikiego Hrabiego na Harcu, stali się jego nieodstępnymi towarzyszami; należał on do naywalnieyszych najazdów Wernigerodzianów i Blankenbergczyków; wtenczas już mieszkańcy zamków nazywali go naydzielnieyszym, a mieszkańcy miast naywalecznieyszym z napastników okolicznych.

Wyprawa Xiążęcia do Grecyi przerwała najezdniczy sposób życia Hakelberga, na który Xiąże ten, z wielu względów dziwny, małe zwracał baczenie, uważając tę wszystką swawolę za szkołę wojenną i ćwiczenie się w męztwie i roztropności, które z czasem stać się mogą pożytecznemi i dla samego monarchy. Ale wróciwszy z dalekiey wyprawy, otrzymawszy w nagrodę

potężny zamek, nabrawszy większych sił i zaufania w tychże siłach, otoczony gronem naybitnieyszych wojowników, jeszcze strasznieyszym stał się Hakelberg. Groźne imiona wszystkich czarnych rycerzy zgasły przed jego imieniem, a w nayzuchwalszych, nayniebezpiecznieyszych przedsięwzięciach, Heynicho zawsze rey wodził.

Czyli natenczas ścisły związek między Ryxą a Hakelbergiem miał mieysce, żywa dusza wiedzieć nie mogła; ale kartka, bez podpisu i daty, w szkatułce Xiężniczki znaleziona, kazała tego domyślać się. Wypisujemy z niey następujące słowa:

„O ty! świecie życia mojego, duszo moiego istnienia! nie potępiay mnie, nie pogardzay dzikiém postępowaniem mojém. Jak ostry lemiesz porze niwy, by złociste plony wydobyć: tak ja zadaję rany śmiertelne, by szczęście nasze osiągnąć. Próżność i zbytki ludzkie, nie mogą równać się z prawdziwą, wiekuistą miłością, która żyje sama przez się, sama tworzy swoje niebiosa, i sama wznosi trony. Taki cię tron czeka, gdy worki moje złotem się napełnią, gdy zbytkujące bogactwa chciwych, obciążać będą moje muły. Wtenczas dama z rycerzem swoim, skryje się przed zdradliwemi, zawistnemi oczyma świata. Andronik Paleolog, szlachetny Cesarz grecki, poznał rękę i serce twojego kochanka: daje nam przytułek w palmowych i mirtowych gajach. Staniesz się matką rodu Xiążąt, pod tém przeźroczystém niebem, gdzie zimny Boreasz nie niszczy zbojeckiém tchnieniem pierwiastkowych kwiatów młodey namiętności serc czułych.”

Jak silną, odważną i ognistą była ta namiętność, świadczy naprzód sam osobliwszy ten za-

miar; powtóre, iż dla zaprowadzenia wzajemnych stosunków, nie potrzebowała ona nic jey pomocy, niczyjego pośrednictwa, pomimo gniewu Xiążęcia i czuyności jego szpiegów. Jest to cechą tey prawdziwey, niebieskiey miłości, wszechmocney i niezachwianey. Zdarzenie wielkiey wagi silny dopiéro zadało cios Hakelbergowi.

Xiąże Albrecht obchodził w Gietyndze srebrne wesele. Przez trzy dni trwała uroczystość; biesiady, bale, gry rycerskie, szły na wyścigi w przepychu. Na wielkie turnieje tak wiele zjechało się rycerzy, iż miasto zaledwie objąć zdołało nieprzeliczonych gości. Tu byli: Bartold von Asseburg, Herdt von Hardenberg, Heyzo von Uslar, Aschwan von Steinberg, Bartold von Adelepsen, Dytmar von Stockhausen i wielu innych rycerzy z naystarożytnieyszych domów niemieckich.

Na drugi dzień uroczystości, gdy Xiąże Albrecht siedział za przepysznym stołem, w gronie urodziwych pań i walecznych rycerzy, wszedł Xiąże Magnus: z rozgniewaném licem odprowadził wesołego oyca na stronę. W zapale gniewu słowa zamierały mu na ustach, lecz rysy twarzy mówiły wyraźnie, jak księgi wróżb nieszczęścia; Albrecht niespokoyny wyszedł za nim na galeryą otaczającą biesiadną salę. Magnus przyprowadził oyca do okna, obróconego ku kolumnadzie łączącey mieszkania kobiet z wielkim gmachem i w milczeniu szybko wskazał na okno.

Posępnie gorejące latarnie oświecały przechód: ale dostatecznie było ich światło, by przekonać zgrzytającego Xiążęcia, że córka jego Ryxa mocno ściskała jakiegoś rycerza i głowę swoję do je-

go piersi tuliła. Rycerz od stóp do głowy czarno był uzbrojony; tylko dwa srebrne rogi świeciły się na jego hełmie. Cichy, ale wyraźny głos Xiężniczki obił się o ucho rozjadłego oyca.

„Wierzę ci," mówiła z czułością; „tobie jednemu wierzę. Niech każda chwila życia mego będzie opłakaną, niech wszelka roskosz życia dla mnie zwiędnie, jak ta róża jesienna u moich piersi. Do grobu wierną dla ciebie zostanę; przeniosę chętnie lochy klasztorne, nad małżeńskie łoże innego niecierpianego królewica. Weź te perły na pamiątkę łez będących zadatkiem pomyślnieyszey przyszłości: wierne serce biło pod niémi; noś je póty, aż ja sama lub móy całun pogrzebowy wykupią je od ciebie." Rycerz przyklęknął przed nią, ona mu na szyi perły swoje zawiesiła; wtém nagle podniósł się, z zapałem przycisnął ją do stalowych piersi, a wdzięczny głos doszedł ucha podsłuchujących: „Ryxo! ty albo nikt! Miłość przezwycięży nienawiść ludzi i upor twego oyca. Te perły, smutku twojego pamiątka, odkupisz szczęściem, jakie gotuję dla ciebie w rayskiey krainie, uświęconey stopami Zbawiciela, który miłość opowiadał, a Jego imię biorę na świadectwo mojey przysięgi. Pogardzam władzą, co nas rozdzieliła tak wcześnie, co zerwała z nas kwiaty młodości i pozbawiła piérwszych miłości uciech; jey przebiegłość bierze górę nad dumną czuynością tyranów. Powietrzną drogą jaskółki, podziemne lochy kreta znalazłem ja do ciebie: tutay, we własnym zamku śmiertelnego wroga, śród naymilszey mu biesiady, ściskam ciebie, jak moją narzeczoną, a moje pocałunki urągają tłuszczy jego szpiegów i stra-

żników. Jutro spóyrzenie twoje nadludzkich doda mi sił w boju, a myśl, że naypięknieysza z naypięknieyszych, za którą tylu rycerzy potykać się będzie, do mnie, do mnie jednego należy, uczyni mnie niezwyciężonym. Ach! czyliż to dumne szczęście, nie rozerwie biednego serca mego!" Kochankowie uścisnęli się raz jeszcze, i znikli w przeciwne strony.

„Puszczay mnie oycze!" zawołał Xiąże Magnus, dobywając miecza z pod axamitney odzieży, „puszczay! Niech wydrę serce z piersi podłego zwodziciela!" Lecz Xiąże zmarszczył brwi okropnie i zatrzymał syna.

„Czekay!" rzekł głosem grobowym. „Hańba Ryxy jest naszą własną! On się z nas urąga, pogardza, tryumfuje nad nami! Niech się dzieciątko pocieszy noc jednę, jutro inni się zaśmieją; a wtedy zobaczym, czy nasz pan bohatér będzie śmiał się z nimi!"

Nazajutrz turnieje już się zbliżały ku końcowi. Wspaniałe było grono rycerzy. Las kopiy, jakby kwiatami posypany, jaśniał śród różnobarwnych piór powiewających na hełmach wojowników i na głowach ich koni. Okazalszym był jeszcze orszak kobiét, których jaskrawe stroje tworzyły tęczę nad chmurą potykających się. Na piasku walały się ułomki oręża, a krople krwi, na białych z błękitném szrankach, świadczyły o porażce licznych rycerzy, tylko co jeszcze wspaniale toczących koniem. Silny Asseburger stał śród pobojowiska zwycięzcą, i czekał nowych przeciwników; w tém otworzył się krzyż z kopiy strażników złożony, a ukazał się nowy rycerz na czarnym koniu. Okrzyki spotkały przybysza; wzrost

jego olbrzymi rokował, że on będzie zwycięzcą w dniu dzisieyszym. W czarney zbroi, jak gdyby cały z jednego kruszcu wraz z koniem odlany, mając kilka sznurków pereł na szyi, a na tarczy prosty napis: *Ze śmierci zakwita życie*, łączył z silną postawą cóś nadzwyczaynego i tajemniczego, a obudzając ciekawość widzów, życzliwość ich pozyskał.

Już głos trąby rozległ się na placu, już rycerze spuścili długie kopije do starcia się, w tém z rozpaloną twarzą, podniósł się Xiąże Albrecht; skinieniem szerokiey dłoni nakazał milczenie trębaczowi.

,,Czego chce ten bezimienny a nieproszony gość na moich turniejach" krzyknął na straż przyboczną. Herold wystąpił i jednostaynym głosem odpowiedział: ,,Rycerz na czarnym koniu dobrego jest rodu, imie jego bez zarzutu, a tarcza bez skazy. Ślub mu zabrania odkryć oblicze, lecz posłuszny prawidłom, opowiedział ród swóy Heroldom xiążęcym."

Z niecierpliwością słuchał stary Xiąże tey mowy, i z gniewem odpowiedział: ,,Heroldzie! ty znasz tego *czarta pancernego*, co śmie wdzierać się w wybrany kwiat rycerstwa, i zginasz przed nim swą laskę, że się on rycerzem mianuje. Lecz i ja znam go, a znam go lepiey od ciebie. Niech sobie inni lekkomyślni Xiążęta inaczey myślą, ale ja niecierpię w swoim kraju rozboyników i złodziejów. A jeżeli podobni temu mają dosyć zuchwałości wjeżdżać w moje bramy, tedy i ja mam dosyć sosen, co dla nich za szubienicę posłużą."

Szmer głuchy przebiegł szeregi dumnych rycerzy, naród zdziwiony nie mógł zrozumieć, czyli

był to za xięciem, czy też przeciwko niemu. Naymocniey był dotknięty rycerz czarny; zbroja chrzęszczała na nim od konwulsyynych poruszeń, z dziką siłą cisnął kopiję w herb Xiążęcy, na wysokim słupie zawieszony. Podniósł przyłbicę, a wspaniały, groźny wzrok Hakelberga, zatrzymał się na Xiążęciu.

„Ja to jestem” krzyknął piorunującym głosem, „ja to w obec całego rycerstwa żądam zadośćuczynienia od Brunświckiego Xięcia, który krew starodawną i szlachetną wszystkich rycerzy we mnie obraził!”

—„Nędzniku!”— zawołał Xiąże, i biorąc za rękojeść miecza, przestąpił jeden stopień — „powróz lub miecz katowski zadosyć ci uczynią. Wassale moi! ten nikczemnik zhańbił wczora honor mojego domu uczynkiem, bardziey niżeli dziś słowami. Przez świętość przysięgi waszey żądam dziś od was pomocy. Schwytaycie tego rozboynika, potłuczcie jego puklerz, a samego wyrzućcie za granicę... albo — przysięgam na moję brodę — uznam was za krzywoprzysiężców, a ziemia nieposłusznych stanie się bardziey niepłodną, niżeli nagie wierzchołki Heymbergu.”

Xiążęta Otto i Magnus, w gronie potykających się będący, dobyli teraz mieczów. „Za mną, kto wierny swemu panu!” zawołał ostatni i z hufcem jezdnych skoczył ku weyściu do szranek. Powstała wrzawa powszechna, rycerze kłócili się z sobą, rozkazy wodzów zewsząd się rozlegały, a słowa Xięcia Henryka, już z gniewem, już z łagodnością do brata zwracane, ginęły pośród szczęku oręża. Heynicho dziko spoglądał do koła, i lśniącym mieczem groził otaczającym. Wten-

czas z Xiążęcego balkonu dał się słyszeć znajomy głos: „Heynicho, ratuy się! ratuy się, bo zabijesz z sobą to, co jest naydroższém dla twego serca!” Z niebieską siłą działały te słowa na nieustraszonego rycerza. Raz jeszcze rzucił okiem na weyście do szranek, zajęte już przez nieprzyjaciół, ścisnął konia ostrogami, a żartki rumak jak strzała przeleciał przez szranki, na obie strony roztrącał straż, giermków i mieszkańców, i pośród zgiełku i krzyku, pędem wichru leciał przez Weendzką ulicę ku mieyskiey bramie. Xiąże Magnus i Wassale gietyngscy puścili się za nim w pogoń.

Już rycerz nasz był blisko mieyskiey bramy, już wygrał nad ścigającymi przestrzeń dla bezpieczeństwa swego potrzebną; lecz tutay, zdawało się, że go dobry geniusz odstąpił. Długi szereg powozów i jezdców zastąpił mu drogę. Biskup Hildesheymski i Xieni klasztoru Gundersheymskiego, doczekawszy się końca hucznych biesiad, jechali złożyć życzenia swoje wysokiey parze. Na czele jechał rządca klasztoru Wibrechtshauzeńskiego Hildebrandt Rhumann.

Nagła trwoga spędziła rumieniec z oblicza Hakelberga, lecz poznawszy naczelnika, zawołał: „Mieysce, dawny kolego! mieysce: mam spór z niesprawiedliwą przemocą. Day mieysce, zaklinam cię przez pocałowanie na brzegach Jordanu.” — „Trzydziestu tygrysów na jednego lwa” śpiesznie zawołał szlachetny Hildebrandt — „nie chcę bydź trzydziestym piérwszym. Mieysce, żołnierze!” krzyknął głośno: jezdcy ścisnęli się przy powozach. Hakelberg puścił się wązkim przechodem, leciał przez rowy i płoty, wkrótce doścignął wzgórków, pokrytych gęstym lasem, za którym wzno-

siły się wspaniałe zamki Hardenbergów i Plessenów.

Heynicho ocalony został. Ten dzień dla niego nieszczęśliwy, był dniem rozbratu między dwóma panującemi domami Henryka i Albrechta; lecz on z tego żadney nie odniósł korzyści, bo chmura, okropnieysza od wszystkich poprzednich, rozciągnęła się nad horyzontem jego życia. Od dnia tego zniknęła Ryxa, żaden szpieg zrospaczonego kochanka, nie mógł wytropić jey śladów.

Połowę skarbów swoich rozproszył Heynicho; jego szpiegowie wkradali się do naytajemnieyszych cel klasztornych w Marienstein, Walkenried, Riedeshausen i Nordheym: nigdzie jey nie było. Nakoniec od przyjaciela Hieronima na Kolbergu powziął wiadomość, że w nocy w Gandersheym były obleczyny młodey zakonnicy, gwałtem ucięto jey światłe włosy, i zasłonę rzucono na omdlałą. Ona to była zapewne: serce Hakelberga potwierdzało ten domysł. Zaczął koczować między Gandersheymem a Gietyngą, rozpuszczał swe zagony aż pod bramy samego miasta, rabował cokolwiek mu wpadło w ręce, do męztwa łączył zemstę i okrucieństwo, a imię czarta pancernego, nadane mu przez Xięcia, zachował do tego nawet czasu, kiedy się spotkał z kupcami Frankfurckiemi, i kiedy ręka ta sama, która go, idąc za uczuciem miłości, ocaliła, trzymając się powinności, zadała mu cios, i nazawsze oderwała od ziemskiego szczęścia.

Nad krętą pochyłością kamienistego brzegu rzeki Oker, niedaleko miasta Goslar, wznosiły się wały i baszty Herlingenburgu. Jeśliby ciemne

tafle jego dachu nie pokazywały, że w nim ludzie mają mieszkanie, możnaby było wziąć ten zamek za dziwną gromadę skał, hoyną ręką przyrodzenia na grzbiecie Harcu zasianych. Mech pokrywał szare wały; budowle za nimi położone, były to nieforemne kupy kamieni, o grubych filarach, a wązkich i głębokich oknach. Jak węże pokręcone ścieżki, przez nagi wierzchołek góry ciągnące się, prowadziły do dębowey bramy zamku, a z tyłu dotykał go ciemny las sosnowy i starodawną budowę cesarza Ottona wiecznie zielonym wieńcem pokrywał.

Na trzeci dzień po tey nocy, którą w pieczarach Kolbergskich spędzili, Heynicho z strzelcem swoim jechał, przy gasnących promieniach zachodzącego słońca, przez powabne dzikością lasy Hercyńskie. W cichém milczeniu odbywał tę podróż, służebnik nie miał śmiałości przerwać posępnego milczenia, głęboko zadumanego pana. Z zadziwieniem spostrzegli oba na główney baszcie zamku czarną chorągiew, jak groźna chmura, smutnie powiewającą. W niepewności popatrzał Hrabia na górę i spiął konia ostrogami.

Wesoły głos trąby rozległ się z baszty strażniczey; z łoskotem otworzyła się brama; słudzy i żołnierze tłumnie cisnęli się na dziedziniec, a okrzyki radości powitały ukochanego wodza i pana; każdy starał się ucałować rękę lub kolano Hrabiego i dopomodz mu zsiąśdź z konia. Z posępną uprzeymością kłaniał się Hrabia na obie strony; zsiadłszy z konia, położył rękę na ramieniu zbielałego od starości Hajera, marszałka dworu i przenikliwie patrzał mu w oczy.

„Mniemaliście żem zabity" zapytał. „Czarna

chorągiew znakiem jest mey śmierci? Czyli też jakie inne nieszczęście na dóm móy spadło?”

Z uszanowaniem stanu uchylił śnieżną głowę. „Nie pomału trwożyliśmy się o was, miłościwy panie!” odpowiedział powolnym głosem: „bo strzelcy nasi znaleźli zabitego konia waszego na drodze; ale węglarz przez was z Kolbergu wysłany, rozproszył naszę niespokoyność. Na zamku inny jest czcigodny nieboszczyk, którego dzisiay w kaplicy pogrzebać umyśliliśmy. Umarł stary pielgrzym, któregoście, miłościwy panie, uratowali na puszczy i tutay gościnnie w dóm przyjęliście; nieboga jego krewna, tam na górze, przy trunie odmawia modlitwy za umarłe. Weydźcie na górę, a zadziwicie się równie jak my. Nieboszczyk przeobraził się na podobieństwo motyla, co pozbywszy się nikczemney powłoki wznosi się ku słońcu.”

„Biedna Bonifacya!” z cicha powiedział Heynicho, oddał hełm i miecz, i po krętych wschodach śpiesznym krokiem wszedł do zamku. Wysokie okna w sali czarnemi kobiercami były zawieszone; pośrodku wznosił się katafalk, śród mnóztwa, posępnie gorejących pochodni. Biały całun leżał nad ciałem, a przy trumuie siedziała Bonifacya w ciemney pielgrzymiey odzieży, białym pokutnym pasem spięta. Z okrzykiem miłego podziwienia, ze spóyrzeniem pełném radości i smutku, podniosła się z krzesła, położyła książkę do nabożeństwa; i małą śnieżną rękę podała Hrabiemu. Wysmukła, lecz kształtna była kibić pielgrzymki, rysy twarzy, nosiły cechę wschodu. Kasztanowate włosy w gęstych kędziorach spadały na białą szyję i wzdymające się

piersi; duże czarne oczy, chociaż z płaczu i żalu nieco zapadłe, pałały ogniem południowym, a wszystko okazywało, że klęski doznane nie zdołały pokonać wyniosłego jey ducha.

„Biedna Bonifacya!” rzekł rycerz głośniey i z większą niż przed tém żałością. „Stary Gwido nie żyje; lecz ty nie jesteś sierotą, przysięgam na zwłoki zmarłego!” Wyraz smutku błysnął na obliczu Bonifacyi.

„Dzisieysze wasze słowa” odpowiedziała cicho, „były ostatnią pociechą dobrego mego stryja w godzinę jego śmierci. Zaufay Hrabiemu, Bonifacyo, mówił on gasnącym już głosem. Hrabia wybawił osiwiałą głowę moję i honor twóy z rąk zbóyców; on dał mnie spokoyny przytułek i spokoyne skonanie, uratował od haniebnego stosu, na którym tylu moich braci ogień pochłonął; dziki jest i zapalczywy, jak źrzódło w górach, lecz również czysty jak woda źrzódlana; spełni ostatnią moję wolę; ciebie ochroni jak własną siostrę.”

„Gwido znał mnie dobrze! O! gdyby mię wszyscy tak znali!” zawołał Heynicho w mocném poruszeniu. „Ostatnia jego wola jest świętą dla mnie. Lecz co on chciał rozumiéć przez stosy i spalenie? Miałże bydź heretykiem, lub przez Sąd Tajemny na śmierć skazanym?”

„Patrz!” rzekła pielgrzymka i zwolna całun podniosła z trumny. Starzec spoczywał w stroju Templaryusza. Biały płaszcz z krzyżem czerwonym pokrywał piersi i lewą rękę zmarłego; pod prawą znaydował się znak złoty w kształcie greckiego ypsylona. „Templaryusz! Ten starzec, biedny pielgrzym — i jeszcze Wielki Przeor!” rzekł

zdziwiony Hrabia i schylił się ku zwłokóm, jakby chcąc przekonać się z oblicza zmarłego o tém co słyszał. Bonifacya zlekka objęła Hrabiego.

„Stryy móy pragnął cię widzieć przed śmiercią; gorąco pragnął cię pobłogosławić. Z niespokoynością zwracał wzrok gasnący ku drzwiom komnaty, a naymnieyszy szelest na dworze obudzał słabiejące jego siły. Tajemnicę chowaną dla ciebie, mnie zamiast ciebie powierzył. De Pioscemonte nazwisko domu naszego; jako jedyna krewna, znaydowałam się natenczas we Włoszech ze stryjem, gdy nas doszła wiadomość o uwięzieniu Wielkiego Mistrza Molaja i o prześladowaniach, jakie Filip i Klemens wywierali na braciach Zakonu Templaryuszów w całey Europie południowey. Natychmiast zmieniliśmy odzież, pochowaliśmy skarby, cały majątek złożyliśmy w sakwy pielgrzymie i poszliśmy na północ. Śród gór germańskich mam przyjaciela, często powtarzał starzec, gdyśmy odpoczywali, z pokaleczonemi stopami, mam przyjaciela, który nigdy przytułku nie odmówi. Może zachował on móy kleynot, oddawna mu powierzony, tajemny dyament, któremu obiecał nadać blask zamiast hańby, jaka go przy mnie oczekiwała.

Często szukałam klucza tey zagadki, lecz tylko przy śmierci ją rozwiązał. Powierzył on syna swego znakomitemu domowi przyjaciela młodości, i odtąd go nie widział, bo sprawy zakonu powołały go do Cypru i Palestyny. Słyszał, że syn jego na dworze przyjaciela doszedł młodzieńczego wieku; tutay chciał zamieszkać, jemu chciał oddać, jako prawemu dziedzicowi, pudełko z drogiemi kleynotami; znak do sierzpa podobny na ra-

mieniu, miał bydź skazówką w poznaniu syna miłości. Wszechmocny Twórca inaczey atoli sporządził: nie sądzono mu było dożyć do chwili widzenia się z synem: przestrach, podczas napaści w lesie doznany i gwałtowne sił wytężenie ku nadaremney obronie, wyssały ostatnie soki jego życia; lecz on spokoyny, oddał ducha Bogu w domu swojego zbawcy, a teraz przezemnie ostatnią wolę swoję jemu powierza."

Z gwałtownem poruszeniem wewnętrznem, malującem się na wszystkich muszkułach, słuchał Heynicho opowiadania dziewicy. Mocno przycisnął usta swoje do wyniosłego, bladego czoła nieboszczyka; potém obrócił się ku pielgrzymce, i mocno ją do serca przycisnął. Piękna dziewica w milczeniu płakała na jego piersiach.

„Uspokoy się, Bonifacyo!" rzekł drżącym głosem. „Częstokroć, niespodziewając się bynaymniey człowiek znayduje cel życzeń swoich. Dziwnie śmiertelnych losem rządzą niewidome siły. Instynktem duszy, jak niemowlę znayduje pierś matki, tak zmarły starzec znalazł swóy cel; uradowany duch jego pogląda na nas z wysokości niebieskiey. Ty nigdy mię nie opuścisz; będziesz mi siostrą, przyjaciółką; nad grobem zmarłego óyca mojego poprzysięgam ci miłość i przyjaźń braterską!" — Nadziemny blask zajaśniał w oku dziewicy: mocniey przytuliła się do piersi rycerza. „Powierzam ci życie moje, los moy!" rzekła cichym głosem. „Czyż zdołam znaleźć obrońcę szlachetnieyszego, dostoynieyszego nad ciebie? Jak palma samotna na pustyni, uschłabym lub upadła pod toporem Beduinów, gdybyś ty nie

czuwał nademną. Gorsi są, jak powiadają, okrutnieysi ludzie na północy."

Jakby śmiertelnym rażony pociskiem gwałtownie przycisnął rękę swą do serca; a potém uderzył się w czoło. Bladość okropna twarz mu pokryła; usunął się z objęciów Bonifacyi i w głębokiém zadumaniu usiadł przy katafalku. Z niespokoynością, z żywym udziałem miłości, utkwiła wzrok swóy dziewica w posępne oblicze rycerza.

„Tak, tak zaiste!" mówił sam do siebie. „stokroć są gorsi, jadowitsi ci ludzie, niż węże Cypryyskie albo tygrysy w Libiyskich stepach. Honor bliźniego fraszką jest dla nich; jak jastrząb zdobycz swoję, tak oni serca rozdzierają; niszczyć szczęście bliźniego, naywyższym u nich jest szczęściem. Dobry, czcigodny starcze! jam twego losu dziedzicem. Urodzenie moje było grzechem; byt móy obłąkaniem; życie łowami, na których sam się stałem zdobyczą; równie jak ty, sam jeden; jak ty, jestem w grobie wprzód, niźli mi włosy pobielały."

„Sam jeden?" zapytała tonem wymówki pielgrzymka i pulchną rękę na jego głowie oparła. „Czyliż nie jestem przy tobie? Życie moje, serce moje, należą do ciebie jednego."

Porwał się z mieysca rycerz i ogniste spóyrzenie utkwił w nadobną dziewicę. „Tak, chyba ty" zawołał: „chyba ty mi zdołasz dopomodz, chyba ty zdeymiesz z piersi moich przygniatający mię ciężar! Twoja odzież . . . . ciebie tu nikt nie zna; moje złoto . . . . . Wszystko to otworzy ci czarne bramy, przed któremi stoję jak wyklęty u drzwi kościoła. Znaydziesz ją, zobaczysz, będziesz

z nią mówiła, pocieszysz ją i mnie razem, zlejesz balsam na niszczące mię rany!"

„Kogo mam szukać? z kim się widzieć?" zapytała dziewica z wyrazem nayżywszego smutku, nie mogąc utrzymać się na drgających nogach. — „Nie czas już teraz milczeć i taić się" odpowiedział Hrabia ze smutkiem i niespokoynością „rozpacz nie nosi zasłony. Tego jeszcze użyję środka, a jeśli mi się nie nada, natenczas otwartą siłą póydę przeciwko dumnemu Xięciu, zburzę jego mury, albo sam legnę pod nimi. Bonifacyo! uczucia twoje są tkliwe, miękkie, bo jesteś kobietą; w piersi twey bije litościwe serce, ty sama potrzebowałaś litości; ty znasz nieszczęście, gorzko doświadczyłaś jego, z ochotą zatém przyniesiesz ulgę innym. Xiężniczką poprzysięgła mi wiarę: kocham Ryxę z Gietyngi: ona jest życiem mego serca, światem mojego życia. Przemoc oycowska zamknęła ją w klasztorze, gdzie ona więdnieje bez pociechy, bez nadziei, bez wieści o kochanku. Idź do niey; wszelkie zapory, wstrzymujące świeckich, spadną przed pielgrzymką z Palestyny. Pustelnik Hieronim będzie twym przewodnikiem, a te rozerwane perły znakiem, żeś posłanniczka narzeczonego! Jutro, po pogrzebie stryja, udasz się w podróż. Ach! ty zapewne nie zdepcesz ostatniego kwiatka nadziei, jaki pozostał miłości będącey w rozpaczy! Jeżeli za powrótem przyniesiesz mi od niey choć jedno pozdrowienie, będziesz i zawsze i wszędzie panią tego wszystkiego, co tylko Hakelberg posiada; ja będą służył tobie jak naywierniejszy, jak naywdzięcznieyszy poddany. Ty płaczesz? Te łzy są rękojmią dobrego skutku, teyże chwili wysyłam gońca do pu-

stelnika." — Z ognistą porywczością pocałowaniem starł łzę błyszczącą w jey oku i wybiegł z komnaty.

Długo, jak skamieniała, Bonifacya stała na tém mieyscu, gdzie Heynicho ją pocałował: złożone ręce nie okazywały życia, a wilgotne oczy wlepione były w wapienne tafle posadzki.

„Zdeptać ostatni kwiat nadziei, jaki pozostał miłości?" zapytała sama siebie. „Nie, tego ja nie uczynię!" dodała z zapałem. „Lecz ty, ty — i ja?" Mocno przycisnęła rękę do białych, wzdymających się dziewiczych piersi, i z podniesionemi ku niebu oczyma, modlić się zaczęła.

„Drogi twoje panie są niedoścignione, tajemne! Żądasz krwawych ofiar, ofiar, których częstokroć ludzkie serce wytrzymać nie zdoła. Ale kto *tutay* więcey ofiar uczynił, ten *tam* większą odniesie nagrodę. Ja teraz wielką przynoszę ofiarę; ale przeczysty duch stryja będzie unosił się nademną w posępne godziny mojego bytu!"

.... Zakryła twarz swoję zasłoną i padłszy na kolana modliła się przy trumnie.

Pogodny ranek nastąpił po dżdżystey i ciemney nocy. Na krzakach błyszczały jeszcze duże krople i porannemu słońcu niosły dary swoje. Wesoło rozlegał się stuk robotników kruszących kamienie; rybacy dobywali z rzeki wędy, z haczków zdeymowali tłustych, ślizkich węgorzy, wrzucali ich do koszów i sieci, a radość z dobrego połowu w wesołych pieśniach ogłaszali całey okolicy.

Bonifacya i Hieronim szli brzegiem, w górę

rzeki, piérwsza zamyślona, w milczeniu przypatrująca się gmachom Wibrechthauzenu wyglądającym z pośrodka murów u stop Dziewiczey góry; drugi wesoło witając rybaków, alboli trefnie żartując z ich małżonek.

„Ten węgorz nazbyt tłusty dla opata" wołał Hieronim na młodą kobiétę, która stojąc w wodzie mocno trzymała potężnego węgorza, żeby się ustrzedz od uderzeń, jakiemi groził szybko wywijając się na wszystkie strony. „Dobra Antonino! przynieś mi go na Kolberg. Mnie tłusta ryba nie szkodzi, a ja dam tobie za to talizman, który corocznie wielkie skarby w dóm twóy sprowadzi."

„Zle słychać o Kolbergu: tam niebezpieczno chodzić" odpowiedziała śmiejąc się wieśniaczka, „jednakże przyszlę ci rybę panie pustelniku przez starą Agatę, jeżeli dasz jey co za fatygę."

„Niech idzie do czarta ta zézowata, dziobata czarownica!" krzyknął łagodny pustelnik. Surowe spóyrzenie Bonifacyi odjęło jemu mowę, pobłogosławił rybaków i śpiesznie poszedł za pielgrzymką, która już się zbliżała ku klasztorney bramie. Pociągnął za dzwonek, furtyanka wyszła ku nim. „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!" rzekła Bonifacya. — „Na wieki wieków, Amen" odpowiedziała mniszka, i zaraz obróciła się do przewodnika. „Waszeć to, bracie pustelniku?" mówiła zamknąwszy furtę, prowadząc gości przez obszerny dziedziniec, pośrodku którego wytryskała fontanna, do małego domku, w którym sama mieszkała. „Cóż ciebie do nas sprowadziło z góry ulubioney, z góry mówię, gdzie manna padać, a miód i mleko płynąć muszą,

bo inaczey nie gardziłbyś naszą klasztorną strawą."

„Samotność jest drogą do zbawienia, pobożna siostro Anno" odpowiedział pustelnik wywracając oczyma." Temu cielesnym myślom oprzeć się nie łatwo, komu taka bieluchna rączka często otwierać będzie bramy. Teraz zaś wystraszyli mię rycerze z długimi mieczami, co się niedawno wnęcili w góry Kolbergskie, a że ta bogoboyna pielgrzymka zapragnęła pomodlić się przed cudownym obrazem Nayświętszey Matki przy Hardenbergu, ja przedsięwziąłem być jey przewodnikiem."

„Dobrze, żeś ty na górze o dziesięć lat przynaymniey postarzał" szeptała mu do ucha furtyanka. „Bo pierwiey, byłeś nakształt wilka, którego niemożnaby dawać owieczkom za przewodnika." — „Rozum przychodzi z laty pobożna siostro" rzecze rad z siebie oyciec Hieronim. „Ale towarzyszka moja, podobna do świętey, w Jeruzalem u siostr miłosierdzia uczyła się sztuki leczenia, delikatna jey ręka wszędzie robi cuda, gdziekolwiek zgotuje jakie ziółka, albo też maść jaką przyłoży."

„A to sam Pan Bóg do nas ją prowadzi!" zawołała mniszka. „Matka nasza świątobliwa Xieni, przyymuje ją z otwartemi rękoma, i nie wypuści dopóty, aż niedoświadczy ona swey mądrości nad jedną niebogą, od złego ducha nawiedzoną siostrą."

— „A jak się zowie ta chora? i jaką niemoc cierpi?" zapytała Bonifacya, dotykając się ustami kubka podanego przez furtyankę.

— „Mówiąc prawdę, jestto tajemnica zakonna" odpowiedziała poważnie mniszka. „Ale my

wszyscy troje jesteśmy członkami kościoła i ślubowaliśmy skromność. Imie jey teraz Magdalena, a pierwiey nazywała się Ryxa; jest córką jednego z panujących naszych Xiążąt. Przez czary i moc szatańską omamił ją niejakiś dziki młodzieniec, nieszlachetnego rodu, a gorszego jeszcze życia, i do takiego stopnia ją opanował, że przy wszystkich zrywała poświęconą zasłonę i szkaradnemi słowy lżyła matkę Xieni i siostry zakonne. Nic nie pomagają ni prośby, ni groźby. W obecności nas wszystkich poprzysięgała grzeszną miłość, i utrzymywała, że chętniey tysiąc śmierci poniesie, aniżeli wyrzecze się przeklętego oblubieńca, żeby natomiast dzielić świątobliwe służby wybranych zakonnic. Wtedy ją oyciec przeklął i skazał na naysroższą pokutę kościelną, a świątobliwa rada klasztoru postanowiła ją zamknąć w podziemnym lochu i przymusić ją szyć bieliznę dla dzieci: straszna i haniebna dla mniszki kara."

„Po tey samey miłości łatwobym się domyśliła kto jest kochankiem," ścicha przemówiła rozczulona Bonifacya, ale w teyże chwili obracając się do mniszki, zapytała: „Jak mi się zdaje, mówiłaś, że chora?"

„Tak, a czyliż podobne szaleństwo nie jest chorobą" odpowiedziała z podziwieniem. „Lecz razem z duszą i ciało upada; stary brat Antoni, ostatni raz wychodząc od niey, powiedział: siostro Anno, śmiało dla biednéy Magdaleny gotować możesz mieysce na mogiłę; namiętność do szczętu ją zniszczyła, a robak samo serce kwiatka roztoczył. Zadziwiłam się, nie nad bliską jey śmiercią, bo Pan Bóg prędko sądzi grzeszników,

ale nad politowaniem Antoniego, jak gdyby on do tych ludzi należał, których każda twarzyczka zapłakana do płaczu pobudza!"

,,Powiedz o mnie przełożoney" przerwała jey Bonifacya. ,,Może, za łaską Bożą, uda mi się wyleczyć, jak ciało, tak duszę — może Nayświętsza Matka sprowadziła mię tu umyślnie, by uratować cześć dostoynego klasztoru."

Furtyanka śpiesznie wybiegła, a pustelnik śmiejąc się ręczał, że już rzecz skończona. ,,Nie śmiey się tak wcześnie" rzekła Bonifacya. ,,Tajemne przeczucie mówi mnie, że przyniesiemy naszemu przyjacielowi chyba kwiatek z mogiły kochanki, albo kawałek śmiertelnego całunu, na tkórym wytoczy on może wszystką krew z rozszarpanego serca.

Xieni przyjęła pielgrzymkę z uszanowaniem i grzecznością. Listy od wielu znakomitych duchownych osób przywiezione, podarunki kosztowne, i jakby nawiasem myśl rzucona, że po skończeniu pielgrzymowania, może mieć zamiar osiąśdź nazawsze w Wibrechthauzeńskim klasztorze: to wszystko stało się pobudką do zjednania łatwowierney Xieni. Po krótkiey rozmowie, dozwoliła pielgrzymce zstąpić do lochu, i obiecała wysoką nagrodę, jeśli jey się uda wyleczyć duszę obłąkaney, pod klątwą kościoła znaydującey się siostry. Furtyanka poprowadziła Bonifacyą przez korytarze, w których, jak w ulu, nagromadzone były celki mniszek, do kościoła, a stąd do lochu sklepionego, gdzie znaydował się pewny rodzay okrągłey sali, którey ściany u-

pstrzone były wyobrażeniami narzędzi tortur i męczarni, jak naprzykład wieńcami cierniowemi, dzirytami, i napisami, zwiastującemi nazwiska żywo zamurowanych mniszek. Furtyanka rozniecila lampę, odkryła płaskie drzwi znaydujące się w podłodze. Czworokątny otwór, i biała, prostopadle stojąca drabina, były jedyną niebezpieczną ścieżką do podziemney otchłani trwogi i okropności.

„Idźcie w ślad za mną i trzymaycie się mocniey" mówiła Anna do przejętey podziwieniem Bonifacyi — „szczeble są mocne, zaraz zeydziemy na dół." Lekkość, z jaką zstępowała tłusta mniszeczka, świadczyła o codzienney jey wprawie; cicho, ale pewnym krokiem szła za nią pielgrzymka. Spuściwszy się na dół, zeszły do podobney jak na wyższém piętrze sali, z tą różnicą, że tu znaydowało się troje małych drzwi, wiodących do małych także celek, podobnych trzem otwartym mogiłom. Jednę z tych celek oświecała lampa, u weyścia zawieszona: przy mdławém świetle Bonifacya spostrzegła kobiétę siedzącą na pościeli, pilnie zajętą robieniem pończochy.

„Siostro Anno!" szepnęła Bonifacya swojey przewodniczce, „matka Xieni dała mi pełną wolę, a ja, jako lekarka, muszę bez świadków wybadać chorą o przyczynie jey choroby. Zostaw mnie samą i czekay na górze u wschodow" — „Ty, święta panno" — odpowiedziała Anna — „nie masz ani bojaźni, ani względów światowych. Ja z całego serca rada jestem powrócić na światło; ten, kto w młodości uległ choć powszedniemu grzechowi, nie zawsze ze spokoyném sercem tu

się znaydować może. Na twojey zaś twarzy, jak we zwierciedle, widać przeczyste niebo bez skazy; tyś wędrowała po ziemi obiecaney, kąpałaś się w Jordanie, bez trwogi możesz się przybliżyć do konającey, od kościoła wyklętey jawnogrzesznicy, chociażby za nią sam szatan stanął.“

„Czyliż jey choroba żadney już nie czyni nadziei?” zapytała Bonifacya, mocno przyciskając prawą rękę do ściśnionego serca.

—„Dawno już krew bez przerwy z ust jey płynie” rzekła Anna, „gorączka ją trawi, a niedostatek światła do ostatka wyniszcza.”

„Odmawiająż jey świętey pociechy kościoła.” z gniewem pytała Bonifacya.

„Jego Wysoka Przewielebność Teodoryk, Opat klasztoru ś. Bazylego w Nordheymie, naysurowiey tego zakazał, dopóki publicznie nie wyrzecze się swojey grzeszney, ziemskiey miłości. Ach! staray się ją nakłonić, świątobliwa panno, obca wszelkim namiętnościom światowym.“

Bonifacya ciężko westchnęła, dała znak mniszce żeby się oddaliła, bo już nieszczęśliwa ich spostrzegła. Kiedy okrągłe nóżki furtyanki niknęły na wierzchu drabiny, Bonifacya z pilnością wpatrywać się zaczęła w pokutnicę. Kibić jey była wysmukła i kształtna; szata zakonna nie zupełnie zakrywała delikatny skład jey członków; przyjemna twarz blada była, jakby woskowa, oprócz jagód, na których świecił się chorowity rumieniec. Kolor jasnego, wiosennego nieba, malował się w zapadłych oczach; światłe, jedwabne włosy w krótkich kędziorach pokrywały czoło i tylną część głowy. Bonifacya spodziewała się widzieć dumną, kapryśną kobiétę, a uy-

rzała Anioła dobroci i pokory. Gdy się już zbliżyła do samego weyścia pieczary, Ryxa bystro spóyrzała na nią; nieukontentowanie malowało się na twarzy, znowu wlepiła oczy w robotę.

„Błogosławieństwo Wszechmocnego niechay przebywa z tobą i niech ci pokóy przyniesie!" z uczuciem rzekła pielgrzymka, postępując bliżey. „Amen" cicho odpowiedziała Ryxa, a po chwili milczenia mówiła, jakby sama do siebie: „Pokóy! słowa pocieszające, ale myśl czy taka? Pod kwiatem, kryje się często gadzina. Codziennie nowy dręczyciel, przychodzi szarpać boleśnie już zranione serce. Chwila cierpliwości, śmierć noszę już w mey piersi, a życie moje nie będzie bezcześcić kadzideł, których obłokiem pokrywacie niegodziwość swoję przed światem. Ach! wychodź! wychodź, jeżeli choć trochę masz czucia!" dodała z mocném sił natężeniem, „wychodź, proś wielebney matki, niech zostawi grzesznicę w pokoju, przynaymniey w godzinę śmierci."

Do samey pościeli nieszczęśliwey Ryxy zbliżyła się smutna Bonifacya; żałość głęboka malowała się na piękney jey twarzy. „Ryxo! nie znieważay mnie!" rzekła przerywanym głosem. „Nie licz mię w poczet tych serc z lodu, które zniweczyły kwiat twojey młodości, które i teraz jeszcze sądu ostatecznego niepomne, kruszą naypięknieysze dzieło Stworzyciela. Patrz na mnie: czyliż spostrzeżesz we mnie tę powagę tajemniczą, tę nieludzkość, tę dumę mnichowską. Z dalekich krajów, niezbadane sądy Boże sprowadziły mię samotną pielgrzymkę, bym twoją została pocieszycielką. Po tym znaku się dowiesz, od kogo jestem przysłana." To mówiąc złożyła na ko-

lanach Ryxy ów pamiętny sznurek pereł. Przestrach, podziwienie, radość w mgnieniu oka następowały po sobie na twarzy zakonnicy; bladość alabastru i szkarłat karminu pokrywały jey jagody. „Aniele stróżu! on ciebie przysłał?" zawołała. „On ciebie przysłał? On będzie? On mnie ocali? Lecz już zapoźno: ręka kochanka może mię tylko złożyć na śmiertelney pościeli." W osłabieniu upadła na poduszki: otworzyło się źródło rozżarzonych oczu; strumień łez ulżył ściśnionemu sercu, i z większą, nad spodziewanie Bonifacyi, siłą, podniosła się i usiadła na łożu. „Opowiedz mi, co robi, gdzie żyje?" zapytywała skwapliwie, „czy zdrów? czy pamięta o mnie? Widziałam, kiedy upadł pod okropnym toporem, a raz ten i w moję głowę ugodził, odtąd serce moje krwią spływa, a oddech móy broczy krwią to płótno."

Pot zimny wystąpił na czoło pielgrzymki, gdy Ryxa tak mówiąc, wyjęła białą chustkę, na którey czerwieniły się świeże krwi krople.

„Hrabia Heynicho zdrów jest na ciele" odpowiedziała z żałością Bonifacya, „lecz dusza jego równie jest chorą jak twoja. Na miłość bez nadziei jedyném jest lekarstwem blizkość ulubionego przedmiotu, a tegoto właśnie i jemu i tobie niedostaje. Biedna Ryxo! On mię przysłał powziąć wiadomość o tobie, przynieść mu pocieszające tchnienie Zefiru śród duszącey go kurzawy, wynaleść sposób wybawienia ciebie z tey przepaści. Lecz się nie spodziewa widzieć w podobnym stanie: bo inaczey w uniesieniu rospaczy strzaskałby czaszkę swoję o żelazne twoje wrze-

ciądze." Z zaufaniem uścisnęła Ryxa pielgrzymkę, która obok niey usiadła.

,,Nie powiaday mu tego, dobra przyjaciółko!" mówiła Ryxa, ,,ty, coś mi pierwsza przyniosła promień jasnego słońca w tę mogiłę. Już ja teraz nie tyle zasługuję na politowanie odkąd ty ze mną, ty jego posłanka, potwierdzająca o jego miłości. Patrz: te perły są talizmanem, który mię natchnie spokoynością w godzinę mojey śmierci, jak piastunka usypiająca niemowlę. On je nosił śród bitew, śród tysiąca śmierci. Będę je miała na sobie wtenczas, kiedy stanę przed Wszechmocnym Sędzią; te perły dodadzą mi sił do szczerego żalu i skruchy, do obrony uczuć natury, kiedy tam biskup i móy oyciec wystąpią jak moi oskarżyciele."

,,Heynicho ma nadzieję" — rzekła Bonifacya, ,,i ty nadziei nie trać. Przedwieczny Stwórca przeprowadził Moyżesza przez morze czerwone, z pośród lwów oswobodził Daniela, i ciebie może oswobodzić i sprowadzić w góry w objęcia małżonka." Z pokorą skinęła głową Ryxa: ,,Zaniechay podobnych myśli" rzekła: ,,już zapoźno! Gdyby to wcześniey dwóma miesiącami! A teraz oni mię zniszczyli, rozżarzyli krew moję, ja się zadyszam szkarłatnemi, wrzącemi strumieniami własnego życia. Codzień przychodził z klasztoru ś. Bazylego nowy dręczyciel: oni mię straszyli piekłem i wiekuistemi mękami: śmiałam się z nich: Bóg stworzył miłość, a nie mitry i purpury. Jego twór wyższym bydź powinien nad dzieła rąk ludzkich. Przyjechał Biskup, wyklął mnie za przestąpienie i naruszenie ślubów, wyłączył mię ze społeczności chrześcian: Zbawiciel umarł przez

miłość, myśliłam: dzisiay będziesz ze mną w raju, mówił Chrystus do łotra wiszącego przy nim na krzyżu; ja zaś nie zgrzeszyłam tém, żem oddała serce szlachetnemu mężowi; nie naruszyłam ślubów, bom ich dobrowolnie nie przyjęła. Zamknęli mię w tém więzieniu, niechcieli zaspokoić gorączkowego pragnienia, odmawiali mi spokoyności, do jakiey wprzódy pieszczona córka Xiążęca przywykła; mniemali, że mię ukarzą, haniebną, podług ich zdania, pracą czułey matki. Śmiałam się z ich prostoty, bowiem bielizna dziecinna, którą mi szyć kazano, przywodziła mi na myśl słodkie marzenia przyszłego szczęścia, którebym dzieliła z kochankiem, śród lasów, śród skał ogromnych, dokąd ani Xiążę, ani Biskup nie dostąpi. Ale w tém nadszedł list Xięcia Albrechta z oycowskiém przekleństwem; a stały, nieugięty móy umysł, upadł pod ciężkim ręki oycowskiey ciosem. Przekleństwo oycowskie jest to piorun: wszystko przenika, w mgnieniu oka niszczy całą istotę. Przeklęctwo oycowskie jest naysroższym mrozem; żadna trawka nie zostanie zieloną, kiedy zabóycze jego tchnienie dotknie się łąk lub pola. O ty, nieznajoma! ktokolwiek jesteś, pozostań przy mnie, zakryy przygasłe oczy moje; lecz potém uciekay z tego legowiska bazyliszków: idź do niego, jedynego kochanka, odday mu tę chustę skrwawioną, powiedz że moje to jest życie, które należało, należy i wiecznie będzie należeć do niego. Powiedz że moje życie tak wcześnie zwiędło, tak smutno, dla tego, że nie było ogrzane oycowskiém błogosławieństwem; że miłość stała się pożarem i raną nieuleczoną, bo jey nie

uwieńczyło błogosławieństwo oycowskie. Powiedz mu, niech się modli, niech pokutuje jak ja, ale też razem niech jak ja kocha, niech nigdy nie mści się nad nimi."

Krople krwi znowu się pokazały na bladych ustach. Z konwulsyyném wzruszeniem przycisnąwszy do serca perły, Ryxa bez zmysłów padła na pościel, a strwożona pielgrzymka rzuciła się ku drabinie i głośno wołać zaczęła fórtyankę na pomoc.

W Herlingenburgu, w kilka dni poźniey, przechadzał się Hrabia Hakelberg po ogromney sali, naywiększą niecierpliwością miotany. Zgrzybiały marszałek dworu stał u wysokiego okna, i z równą niespokoynością wpatrywał się w puszczę, gdzie nic nie było słychać oprócz stukania niezmordowanego dzięcioła.

„Już daley nie wytrzymam!" krzyknął Heynicho. „Nie powraca ani Bonifacya, ani pustelnik; albo mię zdradzili, albo też zagrzebani w podziemnych lochach klasztoru, dokąd oko ludzkie sięgnąć nie może. Jadę, zburzę te przeklęte mury, i przysięgam . . ."

—„ Owoż jezdziec pędzi drogą"— przerwał starzec — „Zwrócił się ku zamkowi. Słabe moje oczy rozróżniają już zielone pióra na jego hełmie: to Falkenszteyner, leci jak na złamanie szyi."

Hrabia zbliżył się do okna; w tém dała się słyszeć trąba strażnicza, a Falkenszteyner na podwórzu zamkowym skoczył z oddychającego ledwo rumaka.

„Zamykaycie dębowe bramy," wołał Fal-

kenszteyner; „niech ludzie twoi kładą zbroje; każ gromadzić kamienie i ostrzyć szable na obie strony. Tam szatan powstał w górach przeciwko tobie i siedlisku twemu. Ale ja ciebie nie odstąpię aż do śmierci."

„Cóż to za przywitanie" zapytał Heynicho wchodzącego do sali rycerza i dodał z nieukontentowaniem: „złą porę wybrałeś na żarty."

„Dobre to żarty" odparł Falkenszteyner„ lew Gietyngieński (*) z hufcami swemi idzie przeciwko tobie. Xiąże Albrecht pragnie zburzyć koniecznie twe gniazdo; zaprzysiągł na to co ma naylepszego, na swoję brodę; zwołał on sąd na Leynebergu, i on, oraz Xiążęta Magdeburski, Halbersztadzki i Hildesheymski ogłosili cię za wyjętego z pod opieki praw. Chociaż Xiąże Henryk chce ocalić swóy Herlingenburg, ale nie bacząc na to Albrecht ściąga lud zbroyny przeciwko tobie, a miasta okoliczne, wespół z nieprzyjaciółmi twemi Hrabiami na Harcu, przyłączyły się do niego."

—„Za cóż? o cóż mię obwiniają?" zapytał Heynicho z zimnym uśmiechem.

—„Grabisz i mordujesz poddanych Xiążęcia" odpowiedział poważnie Falkenszteyner. „Zamek twóy jest przytułkiem zgrai hultajów i urwiszów. pożerasz handel, naruszasz bezpieczeństwo dróg publicznych. On pragnie z ciebie dać przykład dla wszystkich rycerzy bawiących się rozbojem, pragnie wystawić dla ciebie szubienicę jak jego pałac wysoką; przysiągł to uczynić. Obwinia cie-

(*) Złoty lew w białym polu, lub miasta Gietyngi.

bie o zhańbienie swojey córki, która nie dawno właśnie umarła w Wibrechthauzeńskim klasztorze."

Bladość śmiertelna pokryła twarz Hakelberga. „Ryxa umarła!" zawołał głosem, do dźwięku zerwaney na arfie strony podobnym, i padł bez zmysłów na marmurową posadzkę. Obecni świadkowie zwątpili o jego powrócie do przytomności.

Struchlały marszałek, świadomy nieco sztuki lekarskiey powlekł się drżącym krokiem po ocet i po lancet; tymczasem silny Falkenszteyner podniósł osłabionego rycerza z posadzki i posadził na krześle dębowém; ale naylepszy lekarz wszedł w tę porę do komnaty, a nim była Bonifacya: ona dotknęła się ciepłą ręką zlodowaciałego czoła rycerza, a jakby życie jey w niego się przelało, natychmiast oczy otworzył. W zadziwieniu spóyrzał do koła; potém nieruchome jego oczy zatrzymały się na bladém obliczu dziewicy. Zdawało się że wszelkich sił umysłu dobywał, by wrócić sobie pamięć i czucie, a trzymając się za krawędź blizkiego stołu, usiadł prosto na krześle.

„Czy nie mówił tu ktokolwiek że ona umarła?" zapytał śpiesznie przytłumionym głosem. „Byłaś u niey, Bonifacyo, możesz wiedzieć czy ona żyje, czy..."

Nie dokończył mówić, bo spóyrzenie Bonifacyi wprzód mu dało odpowiedź, niżeli skończył zapytanie. „A tak wiesz już o tém nieszczęśnym wypadku, biedny móy przyjacielu," rzekła pielgrzymka, kiedy on mówić przestał a obłąkany wzrok jego dziko przeglądał otaczających." Bóg

ją powołał. Oycowska jego ręka rozwiązała węzeł, którego zerwać nie zdołała ręka śmiertelnika bez nieszczęść i krwi rozlewu. Zasnęła, jak dziecię w kolébce, a ostatnia jey wola powinna dla cię bydź prawem, żebyś okazał przed światem, iżeś był godzien miłości Ryxy, żebyś i sam mógł tak zasnąć spokoynie, jak ona, na łonie moiém zasnęła, marząc o swoim kochanku!"

Jak burza nagle powstająca ocknął się Hrabia z letargu; drżenie konwulsyyne objęło jego członki, wszystkie muszkuły wyprężyły się.

„Precźże ode mnie wszystko, cokolwiek miałem jeszcze ludzkiego!" krzyknął on przerażającym głosem. „Będę ja czartem, jak mię zabóyca jey nazwał. Nayokrutnieysze źwierzęta staną się wzorem dla mnie. Od tygrysa nauczę się mordować powolnie — niech tylko mitra Xiążęca albo kaptur mnisi w krainie sierzpa mego zoczę, a wnet koniec fałszywym modlitwom i zbrodniczym katowniom! Albrechcie! Albrechcie! tyś przykuł do siebie marę, od którey śmierć tylko chyba cię oswobodzi. Jak zuchwały bezbożnik, zniszczyłeś ty jey życie, życie droższe nad tysiąc państw twoich; teraz i ja za powinność, za naywiększe szczęście mieć będę, niszczyć wszelkie twoje roskosze. Zamordowałeś dzieci moje przed ich narodzeniem się, żonę moję przed ślubem i ja pragnę cię widzieć samotnym, bezdzietnym: nad grobem będziesz rwał włosy swoje, a wtedy Heynicho wszystkę złość swoję zleje w jedno imie Ryxy, i urągając się twemu żalowi, strąci cię z samotnego urwiska. Aniele zemsty, zstępujący do nas ognistą ścieżką błyskawicy! dotąd zapominałem ciebie: dziś słuchay

głosu rozpaczy! przez twoje imie przysięgam dopełnić tego com obiecał!"

Falkenszteyner i marszałek dworu cofnęli się od zapamiętałego, Bonifacya tylko łzami zalana zbliżyła się ku niemu. Zza piersi wyjęła skrwawioną chustkę, i z uroczystym smutkiem rozesłała ją na dębowym stole.

„Oto masz ostatni podarunek Ryxy—rzekła z powagą — „Ta krew płynęła w jey sercu; perły twoje poniosła ona z sobą do mogiły, którą jey, córce Xiążęcey, wykopano nie na cmentarzu, lecz pod murem, pod rynną dachu klasztornego, jako wyłączoney od kościoła. Odbył się pogrzeb bez dzwonów i śpiewania; ziemia zawierająca jey zwłoki nie jest poświęcona; nie ma nawet kamienia, któryby przypomniał, że tu spoczywa córka naystarożytnieyszych Xiążąt państwa niemieckiego, a to wszystko za ciebie, to wszystko na twoje imie zapisane jest w wieczney księdze długów! Czémże jest zapalczywość twoja, czém twoja zemsta obok tych wszystkich ofiar, jakie ona dla ciebie poniosła."

Stało się podług jey oczekiwania pielgrzymki. Wiadomość o zhańbieniu popiołów kochanki, jak piorunem go raziła. Ręce konwulsyynem drżeniem wprzód miotane, opadły teraz bez życia. „Pod rynną.... pod murem klasztornym!" zaledwie słyszanym powtarzał głosem. „Słuchay jeszcze ostatnich jey słów, wielokrotnie powtarzanych przedemną mówiła tak; proś mojego Heynicha, żeby pamięć moję cichym uczcił żalem, żeby skruchę okazał za przestąpienie woli oycowskiey, żeby wiecznie tę kochał, którey oddał młodzieńcze jeszcze serce. Powiedz mu, żeby się nigdy nie mścił." Heyni-

cho porwał chustkę, przycisnął ją do oczu i ust drżących. ,,Święta, ja ciebie jeszcze nie rozumiałem, lecz teraz poznaję głos twóy, z niebios przemawiający do mnie. Usłucham cię duchu dobroci. Lecz jedno, przysięgam jeszcze, a Bóg niech miłościwie wysłucha mey przysięgi, jak przedtém słuchał zaklinań mego szaleństwa: Ryxo! ta ręka nie opuści żelaza, to czoło hełmu, dopóki nie poświęcę mieysca, anielskie zwłoki twoje obeymującego, dopóki nad mogiłą twoją nie postawię kaplicy, w którey kapłan będzie modlitwy za dusze nasze odprawiał." Pielgrzymka uścisnęła rycerza i rzekła ścicha: „Amen!"

Wkrótce zjściły się słowa Falkenszteynera. Mnóstwo chorągwi powiewało około Herlingenburga, a kopijom i hełmom nie było liczby. Oprócz Gietyngskiego widzieć się dawały herby Margrabiego Brandeburskiego, Xięcia Anhalt i trzy biskupie infuły. Herold wzywał oblężonych do poddania się, obiecując im wolne wyyście z zamku, jeżeli wodza wydadzą. Kamienie i okrzyk gniewu były odpowiedzią. Wtedy zaczęło się formalne i ściśłe oblężenie. Woysko Albrechta okrążywszy posadę skały, przecięło wszelką kommunikacyą z oblężonymi. Strumienie dostarczające wody studniom zamkowym zatamowano; lasy poblizkie spalono. Przed bramą dębową postawiono tarany; chmury strzał puszczano na wały a w nocy czyniono zaczepki. Czuyność i męztwo oblężonych w niwecz obracały wszelką usilność oblegających: tłumy jezdzców znalazło śmierć pod murami. Ułamki skał, dłu-

gie belki sosnowe, druzgotały drabiny do murów przystawiane. Wrzący oley i woda oparzały mężnych wojowników, pragnących wedrzeć się na wały; a oblężenie ściste nieprzynosiło szkody zamkowi: bo stąd szły tajemne przechody do nawpół zasypanych otworów, kędy stronnicy Hrabiego w każdey porze mogli zasilać zmnieyszające się zapasy żywności i potrzeb wojennych.

Kilka już tygodni ciągnęły się niekorzystne utarczki; doliny okoliczne zamieniły się w nagie płaszczyzny. Jedney burzliwey nocy wysłany na czaty strzelec, przyprowadził przez pomieniony loch tajemnie gońca od Xiążęcia Henryka z ważnemi poruczeniami do Hrabiego Hakelberga wysłanego. Henryk ściągnąwszy woysko z Miśnii, Hessen, Bremen i Werden śpieszył na pomoc swemu wassalowi. Nagłém a niespodzianém natarciem przełamał już część woyska nieprzyjacielskiego; i Eryka, Biskupa magdeburskiego wziął w niewolę. Na dzień jutrzeyszy powtórną bitwę naznaczył, a przez wycieczkę z zamku chciał nieprzyjaciela między podwóynym murem mieczów postawić.

Z radośnym okrzykiem znudzeni bezczynnością oblężeni przyjęli rozkaz swego Xiążęcia; przed świtem jeszcze wyostrzyli miecze, osiodłali zastałych koni i nowe cięciwy do stalowych łuków ponaciągali. Z pałającą twarzą przebiegał Hakelberg szeregi swoich żołnierzy, dawał rozkazy, szykował, chwalił; ale zapadłe jego oczy błyskały ponuro, a postać jego surowa trwożyła walecznych nawet.

Zaledwie jutrzenka rozjaśniać się zaczęła, już on siedział na gniadym koniu, lecz, z podziwie-

niem jego hufców, w lekkim tylko stalowym szyszaku, bez pancerza, w myśliwskiem z łosiowey skóry odzieniu: „Przy natarciu potrzebna lekkość i zręczność!” odpowiedział staremu marszałkowi; lecz gorzki uśmiech zdradził tajemne myśli, jakoby mówiąc: „pocóż zasłaniać się żelazem od śmierci. Wierny ona przyjaciel, życie zaś jest fałszywy pochlebca!

Z łoskotem rozwarły się dębowe wrota, konni i piesi biegli w tę stronę, kędy pierwsze promienie słońca oświecały lśniące się hełmy przedniey straży oblegających. Nieprzyjaciele przelęknieni poszli w rozsypkę, a wraz z dźwiękiem trąb hufców Hakelberga połączył się odgłos trąb sprzymierzeńców. Ochłonąwszy z popłochu nieprzyjaciele uszykowali się w ściśnione szeregi. Lecz gdy z prawey strony Hrabia Dallen; z lewey sławny Waldeker; pośrodku zaś sam Xiąże Henryk uderzyli na nich: a z góry jak potok wezbrany, wypadły hufce Hakelberga; wtenczas wszelkie rozkazy mężnych dowódców niemiały już wagi. Pierzchnęli w różne strony nieprzyjaciele, a pozostali dla tego tylko się bronili, że im zabrakło mieysca do ucieczki przed gradem mieczów ścigającego rycerstwa.

Tam, kędy jaśniał złoty lew w białém polu, tam żądza zemsty ciągnęłaHakelberga, jak magnes żelazo. Na Gietyńczyków uderzył on z tyłu, jak jastrząb na wylęknione gołębie. Kuł samym rowom Goslaru pęd uciekających uniosł z sobą Xięcia Albrechta z jego synami; lecz pod murami uzbrojonych mieszkańców zatrzymali się pierzchający. Gniewliwy głos Albrechta dał się słyszeć, i woysko jego znowu czoło nieprzyjaciołom sta-

wiło. Xiąże szykował hufiec przedni, widok jego wpędził wszystkę krew na bladą twarz Hakelberga. Okropnie rozległo się straszne jego hasło: „Krew Ryxy i czart pancerny!" i z dzikim hufcem rzucił się na czworokąt, w jaki około obrazu przy drodze stojącego, uszykowali się nieprzyjaciele. Kopije Gietyńczyków jak drzazgi latały w lewo i w prawo pod sierzpem Hakelberga ; już dopadł do Xiążęcia, już ostre żelazo świsnęło śmiercią nad jego głową ..... W tém zdawało się Hrabiemu, że obraz wystawiał anielskie oblicze Ryxy , w śmiertelnych szatach, z błagającym wzrokiem, unoszącey się między oycem a mieczém kochanka. Opadła ręka Hakelberga, a w mgnieniu oka Xiążęta Otto i Magnus podskoczywszy na ratunek oyca, utkwili miecze w piersiach Hrabiego. „Ryxa was obroniła, a mnie woła do siebie!" zawołał głosno. Z głębokiem westchnieniem upuścił miecz i chwycił się wysokiego łęku siodła; lecz na twarzy jego okazał się uśmiech, a w oczach ogień, czém się sami nieprzyjaciele zatrwożyli. Rozjadłe hufce Hakelberga z wściekłością rzuciły się na nieprzyjaciół i pod same baszty Goslaru znowu poparły pierzchających.

Boleśnie boki żartkiego konia Heynichowego kaleczone były ostrogami jezdca pasującego się ze śmiercią. Stygnąca Hrabiego ręka ledwo się dotykała cuglów, a rychło zimne palce zamarły na żółtym łęku siodła. Mocny koń targnął się nazad, potężnie trącił konia Xięcia Magnusa , sam sobie drogę śród jezdnych utorował, i pędem wiatru, ledwie tykając się ziemi kopytami, puścił się drogą znajomą w góry do Herlingenburga.

Po niespokoynie spędzoney nocy przebudził

Bonifacyę zgiełk wojennych ludzi na dzedzińcu zamkowym. Żołnierze występujący w pole naprzód uderzyli jey oko; spragniony boju ich dowódzca spóyrzeniem nawet z nią się nie pożegnał, a przeczucie jey wyraźnie mówiło, że ta wyprawa będzie ostatnią.

Nayprzednieysi mężowie polerowney Francyi, ognistey Italii, malowniczey Grecyi nie zajęli jey serca; tutay w północnych Niemczech pierś jey odniosła pierwszą miłości ranę, tém okrutnieyszą, że miłość jey była bez nadziei, skazana na wieczne milczenie. Jak dzikie okolice Szwaycaryi, naturalną wielkością, niebezpieczeństwy, pięknością olbrzymią, zaymują, zachwycają wyobraźnię, tak surowe męztwo i szlachetność Hakelberga podbiły jey serce, a wdzięczność dla zbawcy życia i honoru otworzyła wstęp miłości.

Nie znał on, nie widział tey gorącey miłości pielgrzymki, pociągającey go do cichego szczęścia; dusza jego żyła tylko w bezprawney namiętności, którey niebezpieczeństwa nowym dla niego były powabem.

Gdy już jazda zniknęła za bramą, Bonifacya padła na kolana przed srebrnym krucyfixem, nad jey łożem zawieszonym i modlitwą ulgę przyniosła sercu. Wyszła potém na pusty dziedziniec, i wstąpiła do baszty strażniczey, żeby stąd wzrokiem przynaymniey towarzyszyć kochanemu. Brama nie była zamknięta; ale naywaleczniejsi z małey liczby pozostałych wojowników, strzegli jey z długiemi berdyszami lub ciężkiemi buławami. Mgła poranna zakrywała całą okolicę; zdaleka rozlegał się głos trąb i szczęk

oręża; ale te dźwięki coraz ginęły w oddaleniu, a przeto potwierdzały nadzieję że porazili wrogów.

Nieszczęśliwa dziewico! cóż bystre twoje oko spostrzegło wprzódy niż którykolwiek rycerz zamkowy — konia Heynichowego, przez skały pędzącego, oraz kochanka chwiejącego się na siodle. Śmierć rysowała się na jego czole; odzież, czaprak, koń gniady własną krwią jego zbroczone; hełm, miecz i tarczę zgubił śród bitwy. Jęk Bonifacyi połączył się z okrzykiem przerażenia żołnierzy stojących na straży: w chwili, krętemi wschodkami zbiegła na z baszty strażniczey na podworze zamkowe. Koń wbiegł na dziedziniec, cały drżący stanął przed zastępującym mu drogę żołnierzem, a nagłém wstrzymaniem się trącony, upływem krwi osłabiony upadł Heynicho na ręce sług swoich i głośno płaczącey przyjaciółki. Po raz ostatni otworzył duże oczy. Poznał Bonifacyą, i uśmiech smutku pokazał się na zmartwiałey twarzy. Zimną ręką wziął rękę pielgrzymki i ścisnąwszy ją mówił głosem przerywanym. „Nie mściłem się, a umieram zwyciężcą. Lecz przysięgi ostatniey wypełnić nie mogę. Mogiła Ryxy... kaplica.... ty, ty... za mnie... i obciążone śmiercią zamknęły się jego powieki a ostatnie, głębokie westchnienie rozpłynęło się w świeżém powietrzu poranném.

Bonifacya łzami zalana nachyliła się ku omdlałemu Hakelbergowi, mocno przycisnęła swe usta do ostygłych ust jego. Małżeńskie pocałowanie dziewicy należało już śmierci, a jey przysięgę przyjął anioł zapominającey się miłości.

W milczeniu, w osłupieniu, jak marmurowe

posągi, stali czarni rycerze w około ulubionego wodza, trzymając w silnych, na krzyż złożonych rękach, czarne szyszaki. Ale modlitwa cicha wnet przerwaną została. Jezdcy ciężko ranieni, jeden po drugim przybywali na zamkowe podwórze; naostatek przybiegł krwią zbroczony Falkenszteyner, z garstką zbroynych. Hrabiowie Stolberg i Mansfeldt pośpieszyli na pomoc Gietyngieńczykom; mieszkańcy Goślaru, pałając ochotą starcia się z nieprzyjacielem, opuścili bezpieczne mury; z upadkiem Hakelberga zmieniło się szczęście poranne; woyska Xięcia Henryka ustępować zaczęły. Mało rycerzy czarnych powróciło nazad, większa część walecznych była na tém mieyscu, gdzie dzielny ich dowódca odniósł podwóyny cios śmiertelny.

Śpiesznie Bonifacya szepnęła cóś do ucha staremu marszałkowi, a wnet dway pancerni wzięli trupa na ręce i ponieśli do środka zamku. Falkenszteyner zajął mieysce dowódzcy; lecz gdy wieczorem herold ogłosił przebaczenie i wolność dla tych wszystkich, którzy dobrowolnie poddadzą zamek i wodza, pokazała się na wałach biała chorągiew, a woyska gietyngieńskie i biskupie twierdzę zajęły.

Poddał się zamek; lecz napróżno szukał stary, mściwy Xiąże zwłok rycerza sierzpa; pielgrzymka i marszałek razem z niémi zniknęli, a straszna wieść rozszerzyła się śród ludu, że czarta pancernego porwał jego imiennik, mieszkający na zamku pod postacią piękney dziewicy. Ze drżeniem poźniey spoglądali podróżni na zwaliska zburzonego Herlingenburgu, bo zabobonność lękliwych rozniosła po zamkach i po cha-

tach, że w północ hasa po dzikiey puszczy, śród wrzasku, krzyku i dźwięku trąb i rogów, dzikie polowanie pod wodzą Hakelberga.

W kilka tygodni potém, tąż samą drogą, którą w początkach powieści naszey poznaliśmy, postępował orszak pogrzebowy z Kolbergu ku Dziewiczey górze. Naprzód szedł pustelnik Hieronim, dawny nasz znajomy, trzymając w ręku wielką świécę woskową; którey jaśny płomień oświecał drogę w porannym mroku. Za nim, na prostey wieyskiey kolasie, przez dwóch koni ciągnioney, leżała czarna trumna, srébrnym tylko krucyfixem i dwóma wiankami z gałązek sosnowych ozdobiona. Za trumną jechała Bonifacya na białym mule, w białym kapeluszu, czarną gazą pokrytym, a obok niey na koniu ujuczonym stary Hojer marszałek dworu, odziany w pielgrzymią szatę wschodniego kroju. Z obu stron trumny szło dwóch ludzi także w pielgrzymich szatach; lecz zagorzałe, męzkie rysy ich twarzy świadczyły że kiy pielgrzymi nie zawsze bywał w ich ręku. Poważnie rozlegał się głos dzwonów klasztornych o świcie poranném; posępny las zżółkniałemi liśćmi usypał drogę żałobney karawany.

Pragnąc wybawić od zhańbienia zwłoki swojego kochanka, Bonifacya, wespół z marszałkiem i dwoma starszymi strzelcami, wynieśli je z zamku, wiadomym tajemnym przechodem, a z nimi razem to wszystko, cokolwiek zabrać można było ze skarbów Hrabiego lub Templaryusza. Ścieżkami znanemi tylko góralóm, zanieśli trupa do

lasu, a ztąd w nocy do kaplicy na Kolbergu, gdzie w pieczarach karłów Hieronim przyjął na się smutny obowiązek nabalsamowania ciała, oraz przygotowania mu ostatniego przytułku. Tym czasem Bonifacya udała się do stolicy Biskupiey, a powabna jey uroda i bogate ofiary dla kościoła, zjednały dla niey łatwy przystęp i zadość uczynienie wszelkim żądaniom. Otrzymała pozwolenie, zwłoki zabitego przez rozboyników, jak mówiła, brata swego, pochować podług wyboru, w jednym z poblizkich klasztorów, i nad jego mogiłą wystawić kaplicę. Prócz tego pozwolono jey zostać mniszką w Wibrechtshauzeńskim klasztorze, bez poddania się całoroczney probie; ona zaś ze swey strony wszystkie skarby zapisała klasztorowi. Z tego powodu był wysłany do przełożoney klasztoru goniec, który powrócił z doniesieniem, iż niecierpliwie oczekują przybycia nowey siostry. Bez wątpienia znaczną do tey niecierpliwości pobudką, stał się woreczek i pudełko z kleynotami, będące w ręku Bonifacyi.

Orszak pogrzebowy zbliżył się już ku klasztorowi. Trumnę, pośród mnóstwa żałobnych pochodni, postawiono w kościele, a xieni pozwoliła nowey siostrze, na mocy indultu biskupiego, wybrać mieysce na mogiłę i kaplicę, podług upodobania.

Wiatr jesienny szumiał w wierzchołku starey sosny, skłaniającey ku ziemi smutne gałęzie, na wschodniey stronie klasztoru. Przy samey ścianie kościoła, obok nizkiego na półosypanego pagórka, dwóch sług kościelnych kopało obszerną mogiłę. Marszałek Hojer, w odzieży da-

wnieyszego swego kunsztu; był bowiem budowniczym i sprowadzonym z Włoch przez Xięcia; mierzył i przemierzał obręb kaplicy, mającey złączyć się z samym kościołem i pokryć przygotowaną mogiłę. Pielgrzymka stała tuż przy nim, a jasne jey spoyrzenia tonęły we mgle złocistey zachodzącego słońca, jakby szukając w nim straconego kochanka. Rządca klasztoru Hildebrand Rhumann wyszedł ku niey w szarey katance i pilnie a posępnie patrzał na nią.

„Bonifacyo!" rzekł głosem, który na chwilę bicie jey serca zatrzymał, " dziwne wybrałaś mieysce na mogiłę dla swego krewnego. W zachodniey części gmachów lepsze możnaby znaleść mieysce na kaplicę, która tu bardzo blizko z murem się styka; a okrom tego, uczestniczką czci bratu waszemu domierzoney, obcą czynicie mogiłę. Możeście nieuważali pagórka, usypanego pod rynną? W nim są pogrzebane kości grzesznicy, wyklętey od kościoła."

—„Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni." drżącym, powolnym głosem odpowiedziała Bonifacya. „Mogiła brata, zrodzonego na wschodzie, ku wschodowi obrócona bydź powinna. Oto przyczyna, jaka zrządziła wybor mieysca na schronienie w Bogu spoczywającego; świat i źli jego synowie wpędzili go do grobu; nie będzie mu niemiło, że poświęcone sklepienie, nad jego popiołami wzniesione przezemnie, w miłości chrześcijańskiey pokryje prochy pogrzebaney tu grzesznicy."

Uśmiech boleśny pokazał się na szanowném obliczu starego rycerza; śpiesznie ujął dziewicę za rękę i ścisnął, mówiąc. „Pódźmy do kościoła, otworzym trumnę. Muszę wprzód widzieć nie-

boszczyka, nim go ziemia przyymie na swoje łono: to moja powinność; ni żywy, ni umarły nie może pozostać w tych murach, dopóki rękojeścią miecza mojego nie dozwolę mu wchodu!"

Zimno śmiertelne przebiegło po wszystkich członkach Bonifacyi. „Zostawcie umarłych w pokoju!" mówiła przekonywającym głosem. Rycerz spóyrzał na nią przenikliwym wzrokiem i rękę położywszy na sercu, rzekł poważnie: „Zaufay starcowi! Kto jest tak blizkim śmierci, jak ja, dla tego trumna jest poświęconą arką przymierza, którą świętokradzka tylko ręka znieważyć może."

To mówiąc, pociągnął za sobą drżącą dziewicę, i za danym znakiem, słudzy kościelni poszli za nim. Przy trumnie padła pielgrzymka, przestrach spędził barwę różową z ust jey, i zawarł one, lecz z błagającym wzrokiem podniosła bieluchne ręce ku surowemu rycerzowi, który rozkazał sługom otworzyć trumnę. Odszrubowano wieko mocno przybite. Hildebrandt rozkazał oddalić się sługom i sam je podniósł. Wyraz głębokiego zadumania malował się na szlachetném czole spoczywającego w trumnie Hrabiego Heynicho Hakelberga. Ręce złożone opierały się na rękojeści krzyżowey miecza na podobieństwo sierzpa, leżącego na czerwonym kobiercu pokrywającym ciało zmarłego. Bonifacya krzyknęła i twarz zasłoniła rękami; stary rycerz zbliżył się ku wyższey części trumny, i z uroczystą powagą położył prawicę na ręku zmarłego.

Naostatek „znalazłeś pokóy nieszczęśliwy, obłąkany młodzieńcze!" rzekł głosem, wyjawiającym wewnętrzne jego poruszenie. Życie wyrzekło się ciebie. Walczyłeś z potężnym światem

i potężnieyszym jeszcze losem, i padłeś pod ich razami! Teraz już ciesz się: *tam* inne są prawa; *tam* miłość jest koroną wszechmocności; *tam* po bratersku uściśniesz tę rękę, która ci niegdyś tak okrutny pocisk zadała!"

—„Znałeś go przeto?" zapytała zdziwiona dziewica. Hildebrandt otarł łzę z osiwiałych rzęsów i uścisnął pielgrzymkę. „Pódź w moje objęcia, dobra przyjaciółko!" rzekł rozrzewniony: „kto jest nieboszczyk, tobie tylko i mnie wiadomo, łzy nasze są ofiarą na grobie nieszczęśliwego złożoną. Zgadłem tajemnice serca twojego, a ślub, przez ciebie dopełniony, świętym jest dla starca, chociaż zbladły jego jagody, a krew ostygła w długoletnim chłodzie. Kto czci umarłych, ten jest chrześcianinem i wierzy nauce miłości. Jesteś samotna, jedna, i pozostaniesz samotną, jedną w gronie zakonnic, boś obca klasztornemu życiu. Będę dla ciebie oycem, dopóki mi Stwórca tego dozwoli; i jeśli zechcesz płakać, zawsze znaydziesz mieysce, tutay na moich piersiach." Z głośnym płaczem padła Bonifacya na ręce starego Hildebranda.

Niezadługo wzniosła się piękna kaplica nad dwiema mogiłami, a gdy na ostrokończatey kopule postawiona była ostatnia gałka, wtedy stary Hojer, zmordowany już życiem, przeniósł się do wieczności. Często Bonifacya z Hildebrandem przesiadywali pod gęstą sosną, rozpamiętywając o przeszłości, dopóki Wszechmogący i ich nie wezwał do siebie. Pamięć o piękney pielgrzymce, jako o świętey, długo jeszcze trwała między zakonnicami.

Czas nie małe sprawił poźniey odmiany. Wieki upłynęły; zmieniły się narody i obyczaje. Nie słychać już wieczornego śpiewu mniszek ani harmoniynego dzwięku wibrechthauzeńskich dzwonów. Samotność klasztorna ustąpiła mieysca zgiełkowi świeckiemu. Liczne rodziny ożywiają martwość cel zakonnych, a rumiana dziatwa igra na mchem porosłych pomnikach, śród których zaledwie pozostało samo imię rycerza sierzpa. Ale nie dawno jeszcze w kościele ś. Bazylego w Nordheymie, chowano bieliznę dziecięcą, szytą za karę przez jakąś mniszkę Xiążęcego rodu, a wieść chodziła, że jeśli kto zabrał tajemnie tę szacowną pamiątkę, temu o północy pokazywała się biała niewiasta i przymuszała odłożyć bieliznę do staroświeckiey szafy, w której leżała z wielu innemi kosztownościami: pamiątka zaś Hakelberga żyje po dziś dzień w powieściach mieszkańców Harcu, a podróżny idąc tamtędy o spóźnioney porze, ze drżeniem odmawia pacierz: gdy zoczy unoszące się nad lasem stado wron krakających, zdaje mu się natenczas że one zwiastują przybycie dzikiego myśliwca i strasznych jego towarzyszy. *L.*

Przekład Ody Horacyusza do Mecenasa.

„Mecenas atavis edite Regibus."

Mecenasie! co z królów krwi powziąłeś życie,
O ty moja obrono, móy wdzięczny zaszczycie!
Są, którzy sobie zawód zakreślają miły,
Zbierać Olimpskim wozem rozniecone pyły:

Tych meta kół polotnych pędem okrążona,
I palma, między bogów przenoszą imiona.
Ów lubi, gdy go gminu niestateczna tłuszcza
Potrzykroć do naywyższych urzędow przypuszcza.
Tamten chce wszystkie plony objąć w swey stodole,
Ile żyżne libiyskie ich wydaje pole.
Ten, co dziadowskie pługiem przewraca odłogi,
Choćbyś mu obiecywał skarb Attala mnogi,
Porzucić lubey strzechy za nic się nie zgodzi,
By na burzliwe morze szedł w cypryyskiey łodzi.
Trwożny kupiec, gdy wzdęte śmierć mu niosą wały,
Ślubuje w cichey wiosce wiek przepędzić cały:
Ale zaraz wrodzoną chęcią zysku zdjęty,
Skrzętną dłonią naprawia nadpsute okręty.
Ten starego massyku pijąc nektar boski,
Nie ciężką lubi pracą dzienne słodzić troski:
Już zaległszy murawę w drzew chłodzącym cieniu,
Już ucho nadstawując strumyka mruczeniu.
Ów lubi, gdy żołnierska grzmi trąba chrapliwa:
Miła mu woyna, którą klnie matka płaczliwa.
Myśliwiec, chociaż jego cierpki chłód ozionie,
W ciemney kniei czas trawi, niepomny o żonie:
Czyli sarna przed psami rączemi umyka,
Czy mu sieci spętały marsyyskiego dzika.
Mnie wieńce z bluszczu, dary głów uczonych godne,
Między bogi umieszczą: mnie i gaje chłodne,
I nimfy z satyrami, zwodząc lekkie tany,
Stawią tam, gdzie gminowi przystęp zakazany:
Gdy mi swego Euterpe fletu nie zabroni,

I Polimnia lutnię poda z wdzięczney dłoni;
A gdy mnie twym wyrokiem przyymie wsiezczów koło,
Pod wzniosłemi niebiosy zabłyśnie me czoło.

Ignacy Rewieński.

Wyjątek z Xięgi 1szey Eneidy Wirgiliusza, zawierający w sobie opisanie burzy i narzekanie Eneasza, zagrożonego nieuchybném niebezpieczeństwem własném i wszystkich jego towarzyszów podróży.

Rzekł i zwróconém berłem w bok uderza skały:
Wnet wiatry niehamowne z pieczar się wyrwały:
I jak w boju przez wyłom wdzierając się hurmem,
Lecą, i ziemię strasznym napełniają szturmem.
Już i na głębią morską w rozpędzie przypadły,
Razem i Not i Eurus i Afryk rozjadły.
Burzą Otchłań i wzniosłe w brzeg pędzą bałwany.
Lin się turkót rozlega, maytków krzyk zmieszany.
Nagle gruba Trojanom dzień wydarła chmura:
Rozhukane zaległa morze noc ponura.
Grzmi wkoło; coraz częstsze wzrok rażą pobłyski:
Zewsząd mężom zagraża wyrok śmierci bliski.
Nagle strach Eneasza śmiertelny ozionie:
Westchnie ciężko, i obie wznosząc w górę dłonie,
Trzykroć, cztérykroć, rzecze, męże ci szczęśliwi,
Którym pod Troją życie odjęli Achiwi!
O ty! co ród danayski twe męztwo zaszczyca,
Czemuż mi twa, Tydydzie, wzbroniła prawica

Na polach Ilionu rozstać się z żywotém!
Gdzie i dzielny padł Hektor pod Achilla grotem,
Gdzie i Sarpedon spoczął, i gdzie w krwawe zdroje
Symois mężne ciała zagarnął i zbroje.

J. Rewieński.

Poezye Antoniego Edwarda Pohoskiego.

Do Eweliny.

Jeśli kiedy, Ewelino!
Jak wdzięki twoje przeminą,
Oddasz się smutney żałobie:
Przypomniy, żeś ty, nieczuła,
Goryczą dni me zatruła,
Kiedym ja myślał o tobie.

Mijają życia godziny;
Jak wody do morza płyną:
Tak i wdzięki Eweliny,
Wraz z piątą wiosną przeminą.

Kupido pszczelnik. (*z Biona*).

Raz swawolny Kupid s strzałą,
Latając ponad ogrodem:
W którym mnóstwo ulów stało
Dumał posilić się miodem.

Skierował lot swóy w te strony,
Gdzie uyrzał ule spokoyne;
A s psotami oswojony,
Pczołom zapowiadał woynę.

Już kontent z swojey zdobyczy,
Otwiéra ule bez tamy;
Plastry wydziera i liczy,
» To dla mnie, a to dla mamy.«

Gdy wnet pczoła rozdąsana,
Na stratę swey pracy czuła:
Pieszczony palczyk tyrana,
Srodze swém żądłem ukłuła.

Porwał się prędko za strzały:
Lecz gdy go inne goręcey,
I tam i ówdzie kąsały,
» Dosyć rzekł, nie będę więcey.« ...

Płacząc podniósł się znów w górę,
Leciał, gdzie gaje Cytery
Wierzchołkiem sięgając chmurę,
Strzegły świątyni Wenery.

» Patrz mamo! rzekł psotnik mały,
» Oto te skrzydlate węże:
» Tak mi rączki pokąsały,
» Żem rzucił moje oręże.

» Ach jak mi ten palczyk boli!«
— A Wenus: »nie płacz móy mały,
» Lecz teraz sądź o tych doli,
» Których raniły twe strzały.«

Rękawiczka S. S.

Nie troszcz się moja pani, powracam w całości,
Bliskom serca leżała, wiém jego skrytości:
Dla ciebie ono bije — i ja temu wierzę,
Bo ze wszystkich myśli swych zwierzyło się szczerze.

Twardowski. (*Ballada*).

»Dzielni w władzy, dzielni w mocy,
»Znękane Jehową duchy!
»Przybądźcie ku mey pomocy,
»Skruszcie ciężące łańcuchy.

»I ty królu piekieł, który,
»Swiat zapalając pożogiem,
»Zerwałeś jarzmo natury,
»Kłócąc się z niebem i Bogiem.

»Opuść twe berło na chwilę,
»A wnet ustanie ma trwoga:
»Zaszczyt chcę mieć w twojéy sile,
»Nienawidzę ludzi — Boga.«

Tak Twardowski obłąkany,
Gdy go dręczy rozpacz wściekła,
Wołał do siebie szatany,
Wyglądał pomocy piekła.

Napisał krwią swą na karcie,
Straszne warunków przymierze:
»Oddaję ci duszę, czarcie,
»Bogu i niebu nie wierzę.«

Noc była — Xiężyc promieniem,
Oświecał cichą mogiłę:
Na tey Twardowski ze drżeniem,
Czekał na złych duchow siłę.

Sprośnym zajęty nałogiem,
Z zbrodni posuwał się w zbrodnię:
Kłócąc się z ludźmi i z Bogiem,
Myślał i działał odrodnie.

A gdy mu życie obrzydło,
Rozpacz się wkradła do duszy.
Błąkał się, jak to straszydło,
Co pokóy innym poruszy.

Północ nadchodziła głucha,
Wszystko uśpione w zaciszy:
Twardowski woła i słucha,
I nic nie widzi — nie słyszy —

Patrz! w tém dwunasta wybiła,
Postrach dokoła się szerzy:
Chmura xiężyc osłoniła,
Wiatr smutno zawył na wieży.

Wszystko tu zniszczeniem głosi,
Niebo się ozwie z łoskotem:
Drży ziemia na drżącey osi,
Stęka pod piorunów grzmotem.

Gdy Twardowski przelękniony,
Bada powstania natury:
W tém piorunowemi tony,
Głos doń się odzywa z góry.

»Odrodny synu nicości!
»Coś w twém szaleństwie bez granic:
»Wyrzekłszy się praw ludzkości,
»Boga i niebo masz za nic.

»Już kres twego przeznaczenia,
»Czas pokuty twey ominął:
»Wołają wszelkie stworzenia,
»Byś nayprędzey zbrodniu zginął.

»Staje się podług twey chęci.«
Umilkł głos — Burza powstała:
Chorami lecą przeklęci,
Drży znowu natura cała.

Twardowski próżno się stroni,
Kryjąc się w trawy i krzaki;
Tłuszcza złych duchów z nim goni,
I wznosi w powietrzne szlaki.

I już go nie ma na świecie,
I żył i zginął odrodnie,
Może to bayka? powiecie.
Gdzież będzie kara na zbrodnie?—

Do Eweliny.

Tak Pani! gdy młodość, wdzięki,
Wszystko ci świetny los wróży;
Chcesz się porównać do róży,
I cenisz przymiot twey ręki.

Jednak wierz mi Ewelino,
Co ci powiem bez zazdrośnie,
Róża co wiosny tak piękna urośnie,
A wdzięki twoje tém czasem przeminą

Lecz dobroć, cnotę twey duszy,
Z którą się pieścisz tak wiernie:
Choć ją otaczają ciernie,
Zadna odmiana nie wzruszy.

---

w Sztambuchu W. R.

Chociaż cię dawno poznałem,
Choć wielbiłem cnoty twoje

Jednakże dotąd nie śmiałem,
Otworzyć serce ci moje.

Lecz gdy teraz nic nie wzbrania,
W sztambuchu wyjaśnić siebie:
Wiedz, żem kochał od poznania,
I umrę kochając ciebie.

Do Boga.

Wszechmocny Panie, co rządzisz światami!
Co wszędzie mocą własną swą przebywasz,
Co się troisty w iedności ukrywasz,
Boże, zmiłuy się nad nami!

Od ciebie człowiek przeznaczenie bierze,
Od ciebie życie i wszelką moc ducha,
Niechże łaskawość Twoja mię wysłucha,
I pracę przyymie w ofierze!

Umysł, co jeszcze niczém nie zmazany,
Piérwsze swe głosy do Ciebie podnosi,
Czując się słabym, o pomoc Twą prosi.
Pomóż mu, Panie nad Pany!

Jeśli nie zechcesz, któż jemu pomoże?
W Tobie ma ufność i nadzieja cała;
Ufność, co wiara w moje serce wlała.
Dayże mi pomoc, o Boże!

J. G. Jſ. K.

Koryl i Temira.

Zaćmiy się ty xiężycu! nie błyszczcie wy gwiazdy!
Niech się ciężkim oblecze smutkiem żywiół każdy
Moja droga Temira kochać mnie się wzbrania!....
Alboż to ja niegodzien jestem przywiązania?...
Czyżem małe jey robił z owocow ofiary?
Za niczże wszystkie poszły liczne moje dary?
Za nic baranek biały, com dał na wiązanie?...
Za nic!... jak mi się zdaje, me ciągłe staranie;—
Okrótna! czego żądasz, powiedz tylko szczérze,
A wszystko to odbierzesz odemnie w ofierze.
Chcesz życia może mego?... to ci ofiaruję —
Patrz okrótna! jak bardzo ciebie ja miłuję.
Tego tylko chcesz pono — boś to wszystko miała,
Czegoś tylko odemnie kiedy zażądała.
Cały ja móy dobytek, móy domek ubogi,
Ścielę tobie, Temiro, pod twe śliczne nogi.
Lecz nie!... ty nienawidzisz mych darów, okrótna!
O Temiro niewdzięczna! o niedolo smutna!...
Bądźcie zdrowe na zawsze, o wy miéysca lube!
Opowiedźcie kochance moją straszną zgubę—
Patrz Temiro niewdzięczna! że jeszcze cię lubię,
Chociaż przez ciebie teraz, na zawsze się zgubię!...
Kiedy Koryl w rozpaczy te dokończał słowa,
Taka jego zza krzaków dochodziła mowa:
„*Jam cię zawsze, Korylu! kochała statecznie*;
„*Jeśli zechcesz dowodów.... ślubuję ci wiecznie!*"
Koryl się wszystek mieni — z radości nie czuje,

Kiedy drogą Temirę na łonie piastuje.
Nawet xiężyc stosownie do uczuć Koryla
Z swojém srebrzystém światłem, bardziéy się wysila.

J. G. Jf. K.

Triolet do E. Ch.

Nie zapomnę ja Elźbiéty,
Póki żyć będę na ziemi:
Gdyż w mém sercu znak wyryty,
Co wznawia pamięć Elźbiéty.
Nigdy czas długi — czas skryty—
Nie zatrze dłońmi chciwemi.—
Nawet i ziemią przykryty,
Nie zapomnę ja Elźbiéty!.

J. G. Jf. K.

Szarady.

1.

Piéwsza wprzód czy wstecz, równe ma znaczenie,
Drugą uyrzycie w polskim alfabecie;
Wszystko odgadnąć jeżeli zechcecie,
Znaczy w użyciu, nałóg, przywyknienie.

2.

Czytay me *dwie* od głowy, czy wspak od ogona,
Nie zmieniam mego nazwania;
Jeżeli o potrzebie Doktor się przekona,
Daje mię do używania.

3.

Kto w bogactwa opływa,
Mym się *piérwszym* nazywa;

Drugie jeśli piękność wskazuje,
Przyjemność czuje;
Bez *trzeciego* choć się małe zdaje,
Nie ujedziesz ani staje.
Wszystko gdy zręcznie z talentem użyte,
Dwie sprzeczności wyda znamienite;
Można skakać,
Można płakać.

4.

Piérwsze jest liczba któréy używamy,
Gdy w złości djabły, lub bizuny liczym,
Drugie się tworzy, gdy drzewo ścinamy,
Wszystko osięgnąć zawsze sobie życzym.

5.

Piérwsze trzy litera, a *czwarte* wskazuje,
Wszystko uczonych ludzi znamionuje.

6.

Piérwsze litera, a *drugie* jest tworem,
Obiedwie zawsze otworem.

7.

Piérwsza wprzód czy w tył, zawsze znaczy mienie,
Literę oznacza *Drugie*,
Wszystko zaś daje pokarm, wyżywienie,
Ale na lata nie długie.

8.

Piérwsze jest wyżey, *dwa drugie* żebraki,
A wszystko nasi Przodkowie Polaki.

9.

Piérwsza przeczy, *druga* wskazuje,
Trzecia roślinę leczącą mianuje,
Wszystko nocnego ptaka okazuje.

(*Rozwiązanie w następującym numerze.*)